

ST. TARNOWSKI.

O KOŁĘDACH.



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

1894.

ST. TARNOWSKI.

O KOŁĘDACH.



*Dr Bronisław Wieczorkiewicz
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego*

W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

1894.

Komputer

135306



BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0070828

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

K-211/81/135306

Kiedy się po wszystkich kościołach kolędy śpiewają¹⁾, jeszcze o nich słyszeć, to może za wiele tego dobrego; ależ znowu sam czas świąteczny naprowadza na ten przedmiot, i każe myśleć o tej części tak oryginalnej naszej rodzimej, bezimiennej, ludowej poezyi. Święta te wywarły na nią wpływ przeważny, znać, że wywierać musiały wielki urok na wyobraźnię ludu, jak na wiele innych rzeczy w naszym świecie. Wiele natchnień cudownych, świętych, znalazła chrześcijańska sztuka, włoskie malarstwo, zwłaszcza to najpobożniejsze, przedrafaeliczne, w tych scenach Narodzenia! Wiele wszystkie ludy Europy wzięły ztamtąd swoich dróg, rzewnych, najpoetyczniejszych może zwyczajów? Nasza Wilia o pierwszej gwieździe, nasza Szopka, i gwiazda, którą chłopcy noszą na Trzech Króli, nawet nasze osobne śpiewy świąteczne nie są bynajmniej w Europie jedyne: obyczaje, obrzędy, śpiewy, odmienne, ale naszym pokrewne znajdują się i na południu, i na zachodzie, i na północy.

Anglia jest protestancką, ale *Christmass* jest dla niej nie religijnem tylko, lecz narodowem i domowem świętem, a na wspomnienie tych dzwonów, które je zwiastują, Anglik najsztywniejszy, gdzieby był, pod równikiem, czy pod biegunem, rozczuli się zawsze. I tam małe chłopcy obchodzą domy z latarniami i śpiewami, a zwyczaj bardzo piękny chce, żeby to święto przynosiło jakąś korzyść, jakąś ulgę, jakąś radość biednym; kobieta, która sama nie jest bardzo ubogą, miałaby sobie za grzech, nie byłaby Angielką, gdyby choć jed-

¹⁾ Drukowane w *Czasie*, w Styczniu roku 1882, Nr. 17, 18, 20, 22, 24 i 25, w Lutym Nr. 26 i 27.

nemu ubogiemu nie dała a jeszcze lepiej nie zrobiła sama jakiej ciepłej odzieży, zwłaszcza też biednym dzieciom. Zdaje się, jak żeby Dzieciątku Jezus chcieli nagrodzić zimno, na które płakało podług naszej kolędy, odziewając w ciepłe suknie jak najwięcej dzieci.

W Niemczech mniej ruchu po ulicach, mniej hałasu, i może mniej miłosierdzia, ale w domu święto także i może jedyne oznaczone ładnym, symbolicznym i poetycznym zwyczajem, *Christbaum*. Francya miała swoje śpiewy kolędowe osobne, które tytuł swój nawet wzięły od tego święta, a choć z czasem te *Noele* stały się świeckimi, nieraz satyrycznymi lub zgoła lekkimi śpiewkami, to właściwa im forma prosta i naiwna przechowała się zawsze, świadczy o ich początku i o ich z naszymi kolędami jakimś pokrewieństwem. A choć tam najmniej może zostało śladów dawnego obyczaju, to przecież gwar i ruch od mszy północnej do samego rana, nieustający hałas grzechotek, wieczera późną nocą z osobnym nazwiskiem, a wreszcie zwyczaj podarunków tak powszechny, że każdy je dawać i odbierać musi, wszystko to zabytki tej radości i tej uroczystości, z jaką niegdyś narody europejskie, jak były młode, święciły Boże Narodzenie.

We Włoszech, kiedy w bocznej kaplicy każdego prawie kościoła widzi się ustawioną stajenkę ze wszystkimi figurami, które w niej być powinny, i kiedy od Bożego Narodzenia do Trzech Króli można w wielu kościołach jeżeli nie we wszystkich widzieć po południu mnóstwo dzieci, które w tej kaplicy recytują dialogi pobożne (o Narodzeniu po największej części), ma się żywe przypomnienie wieków średnich, kiedy dialog w kościele był nie tylko przyjętą i przyzwoitą, ale konieczną ingrediencją każdej religijnej uroczystości: i zarazem przypomnieniem szopki. Tylko, że lalczki, pastuszkowie, Trzej Królowie, aniołowie i siepacze Heroda, żywe i zgrabne, świecą czarnymi oczyma i mówią głoskami dźwięcznymi jak dzwonki. Hiszpanie, kiedy wyszli z kościoła po mszy pasterskiej, palą ogień, strzelają z moż-

dziejzy, śpiewają i tańczą po ulicach, a swoją wilię, swoją dobrą noc (*noche buena*) obchodzą jak my wieczera rodzinną i przyjacielską, która ma swoje tradycyjne, przepisane potrawy, tylko odbywa się dwa razy: jedna postna wieczorem, druga mięsna, huczniejsza, w nocy po nabożeństwie.

A jak w zwyczajach daje się dostrzedz pewne pokrewieństwo, jak nasza Szopka i włoskie dziecinne dialogi mają oczywiście wspólny początek w średniowiecznych religijnych przedstawieniach, tak i śpiewy z jednego może wypłynęły źródła, i początek naszych kolęd kryje się może w pieśniach przez kościół układanych i rozpowszechnionych, które były nie tylko pobożnymi pieśniami, ale wprost modlitwami.

Ale czy to tak było wszędzie i od początku, czy też u nas tylko i później, pomysł był bardzo mądry i zręczny, żeby te pieśni o Bożem Narodzeniu miały zarazem i charakter więcej świecki, żeby w domu były tak stósowne do śpiewania jak w kościele (albo może więcej) i żeby, zawierając zawsze i myśl pobożną i jakąś w końcu prośbę, modlitwę, były opowiadaniem, wspomnieniem. Czy pierwsze kolędy, jakie się u nas przed wiekami śpiewać zaczęły, były układane przez księży lub nie, zawsze bez pozwolenia i aprobaty duchownej w kościele one śpiewać się nie mogły, a tego z pewnością domyślać się można, że one z kościoła dostały się do domu, nie zaś z domu do kościoła. Wyobraźmy sobie teraz, jakim mądrym i jakim dzielnym środkiem rozszerzenia wiary i pobożności były takie pieśni, które nie tylko utrzymywały uczucie religijne, ale zarazem zajmowały, bawiły, działały na wyobraźnię. Lud, który nie umiał czytać, ale który rad słuchał opowiadań i rad śpiewał, a zabawić się, rozerwać się potrzebował, znajdował w takiej pieśni przyjemność, bawił się jak powiastką, a zarazem przyzwyczajał się i przywiązywał do osób i zdarzeń, o których ta pieśń mówiła. Święty Józef, Najświętsza Panna, pasterze, mieli prawo obywatelstwa w jego wyobraźni. Trzej Królowie stawali przed nią w wielkiej paradzie złociści i brodaci jak

królów z bajek, i pierwsze chwile Nowego Zakonu, pierwszy artykuł wiary, wcielenie i odkupienie, wchodziły w życie, stały ciągle na pamięci i w wyobraźni ludu, który te pieśni śpiewał, z pamięci i z wyobraźni przechodziły do jego serca.

Był to więc środek doskonały nie tylko religijny ale moralizujący i cywilizujący. Rodzina, która się zabawiła śpiewaniem tych pieśni, nie potrzebowała bawić się uciechami światowemi, które nawet kiedy nie były złe, mogły być grube, gburowate, głupie. Wyobraźnia zajęta żywo Betleemskimi scenami, nie szuka rozrywki w obrazach, które mogły pomazać, stać się pokusami, a przez nią dostawały się do serca dobre uczucia i przechodziły w krew. Materyalnie nawet śpiewanie takie tysiące ludzi ustrzedz mogły od złego: dzieci od swawoli, dziewczęta od niepotrzebnych myśli lub rozmów, dorosłych od szukania zabawy po za domem w szynku, a w domu w obmowach. Gdyby zaś spojrzeć na to ze stanowiska religijnego, i pomyśleć, jakie wrażenie robić musi na ludzi gorącej wiary i pobożności widok całej rodziny, kilku kilkunastu, i tak dalej aż do setek tysięcy rodzin, które wieczór trawia na śpiewaniu pieśni o Narodzeniu, bawia się nabożeństwem, nie modląc się przeciw Pana Boga chwałą, czy takiemu widok taki nie wydałby się wspianym i po prostu cudownym? czy to nie rzeczywiste spełnienie tego przykazu „cokolwiek robicie, niech wszystko w was będzie na chwałę Bożą“? czy to nie jest nieustające Hosanna, które z każdego domu i z całej ziemi idzie w górę jak kadzidło z ołtarza, a któż wie, czy jak to kadzidło podług słów modlitwy nie ściaga na ziemię niezliczonej obfitości zmiłowań i błogosławieństw? Religijnie mądra, moralnie i cywilizacyjnie nie obojętna i skuteczna była ta myśl kościoła, żeby ludowi chrześcijańskiemu dać do śpiewania pieśni, które odpowiadały jego potrzebom świeckim i ziemskim, a zarazem utwierdzały jego wiarę i krzewiły w nim uczucie religijne.

I to jest główne znamię kołеды. Ona jest pieśnią religijną, ale nie jest prawie nigdy modlitwą. Nie mówiąc o tych,

co mają charakter więcej świecki a nawet humorystyczny, i po kościołach nie śpiewają się wcale lub tylko przez nadużycie organisty, bo się tam śpiewać nie powinny: te najpoważniejsze, te najpobożniejsze, które się słyszy zawsze przy najuroczystszej chwili błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem, te nawet nie są na prawdę a przynajmniej nie są całe modlitwami, ale opowiadają, że „Anioł pasterzom mówił“ lub pytają „Któż pobieży kołędować małemu“. To jest charakter główny kołеды, to jest podstawa: a z tej dopiero wyrosły różne jej rodzaje i formy: to sprawiło, że lud sam mógł na tę grupę pieśni kościelnych wpływać bardzo silnie, i zupełnie ją po swojemu na swoją przerobić.

I.

Kto bowiem przyglądał się uważnie kołędzie, ten musiał dostrzedz, że jej właściwym przymiotem i jej największym wdziękiem, owszem samą jej istotą, jest ta poufałość naiwna, z jaką mówi o Narodzeniu Pana Jezusa i o jego matce, z jaką nasz świat polski i wiejski przenosi w te odległe wieki i kraje. Ten koloryt lokalny polski, tak niewłaściwie nadany Betleemskim scenom, to jest cały wdzięk naiwności kołęd, a poufałość, prostota i jakieś rozrzewnienie. to jest ich piękność wyższa i wewnętrzna. Ci pasterze, zbudzeni przez aniołów i spieszący do owej szopy, to nie są jakieś wschodnie Arabcy, Turki czy Żydy, ale istne polskie parobki; ta szopa jest taka sama, jak każda stajnia przy każdej wiejskiej zagrodzie; i ktoby dzieje Nowego Testamentu znał tylko z kołęd, ten mógłby myśleć, że Pan Jezus urodził się gdziekolwiek w Polsce, w pierwszej lepszej wsi; każda mogłaby dla siebie tę chwałę windykować, bo każda jest podobna jak dwie krople wody do tego Betleem, jakie jest w kołędach. Żyje w nich cały ten wiejski świat, ze swojemi zwyczajami i stosunkami, uczuciami i sposobem mówie-

nia: a ta wielka oryginalność, ta ze stanowiska literackiego największa wartość kolęd, jest skutkiem tego, że one nie były samą tylko czystą modlitwą, ale i opowiadaniem.

To bowiem sprawiło, że ten wiejski poeta mógł sobie wyobrażać, owszem musiał, różne chwile wspomniane w ewangelii; musiał, żeby je opowiedzieć, rozwijać je i dodawać różne szczegóły, których tam nie ma: a że wyobrażać sobie mógł tylko po swojemu, tworzyć dalej na podstawie tego, co znał i widział, więc bez pytania kładł w swoje opowiadanie wszystko, co widział u siebie na wsi, przeniósł w kolędę swój własny świat. Zaczęło się oddziaływanie ludu samego a przynajmniej wiejskich poetów na rodzaj poezyi, podanej im początkowo przez kościół, i rozwinęło się bardzo silnie. Pieśń zrazu religijna, nie prosząca ale chwalać, zaczęła przyjmować w siebie coraz więcej pierwiastków świeckich i miejscowych, aż w końcu te wzięły górę nad świętymi. Każda kolęda robi takie wrażenie jak szopka, gdzie w głębi stoi wprawdzie żłóbek i Najświętsza Panna i śty Józef, ale na przodzie sceny rozmawiają żołnierze, chłopci i żydzi, nie wiele się troszcząc o to, co w głębi. W kolędach na pierwszym planie są zawsze ci pasterze, ci parobcy i ich rozmowy nieraz bardzo długie. Narodzenie służy za tło, a obrazem jest polski świat, polska wieś, ze wszystkiem, co do niej należy: jest i mróz grudniowy i kozuchy i buty i czapki i różne domowe sprzęty i zapasy. Wszystko to poeta kolęd wprowadza w swoje pieśni, a nieraz i całą znajomą sobie naturę, wszystkie zwierzęta u nas żyjące występują tam pod tym pozorem, że i one także idą składać swój hołd Nowonarodzonemu. Rozwijają się zarazem i różne rodzaje kolęd, bo jeżeli wszystkie nie odmiennie mają charakter idylliczny, to w formie raz będzie to idylla jakaś opowiadana i opisująca z epickim pierwiastkiem, innym razem dyalog we dwie lub kilka osób, a w nim (jak w szopce) jakieś żdźbło pierwiastku dramatycznego. Dziwna rzecz nawet jak pod tym względem kolęda stoi wyżej od innych

gałęzi naszej ludowej poezyi; różnaitości form, wiersza i stylu, pierwiastków kompozycji, czy to opisowej czy dramatycznej, żadna może nie wykaże tylu i w takim stopniu, co ta.

Ale jeżeli pierwiastek świecki, jaki jest w kolędzie, sprawił, że ona rozwinęła się w różne formy i przybrała miejscowy, narodowy charakter, to znowu inny powód, już nie materyalny, ale głębszy, moralny i psychologiczny, sprawił, że lud kolędę lubił, że do niej lgnął, że ją przed innemi swojemi pieśniami uprawiał i kształcił, ma się rozumieć, bezwiednie.

Człowiek ubogi i prosty, znający okoliczności towarzyszące Narodzeniu Pana Jezusa, nie zastanawiając się i nie rozumując, czuje przecież instynktem, że to jego święto, jego tryumf, apoteoza ubóstwa, podniesienie go do godności i chwały, z jaką żadna na świecie równać się nie może; król Salomon w całym swoim blasku jest prochem i niczem przy majestacie i jasności Betleemskiego żłobu. A tam, w tej stajni, ubogi jest tem, czem nie jest nigdy i nigdzie indziej na świecie. Ostatni zawsze i pokornie trzymający się na ostatku, tu jest nie tylko równy najpierwszym, ale jest od wszystkich pierwszym; on najbliższy, on pierwszy powołany, jemu naprzód obwieszczają aniołowie „Pokój ludziom dobrej woli“ — on tam spieszy i znajduje wstęp, kiedy trzej Królowie jeszcze daleko, a więc on chyba najdroższy i najbardziej pożądany. W jego stosunkach, w jego położeniu, w jego skromnych warunkach życia stał się ten cud wcielenia i odkupienia: Słowo wcielone przychodzi na świat w szopie takiej jak jego szopy, dzieciątko Jezus biedniejsze nawet od najbiedniejszych dzieci ziemskich, nie ma nie dla siebie przygotowanego i leży na sianie — a przecież to Bóg, Zbawiciel i Odkupiciel. Jak później uczniom Jana na dowód swojej tożsamości powiedział, że „ubogim niesie dobrą nowinę“, tak narodzeniem swoim w ubóstwie już je podniósł w godności i uczynił chwalebne w oczach nieba i ziemi.

I człowiek ubogi to czuje. On nie rozważa i nie rozumuje, ale z rozkoszą myśli o narodzeniu, rozpamiętywa i wyo-

braza sobie różne jego chwile, bo każda z nich mówi mu wyraźnie, że w oczach tego Syna Bożego, a zarazem ubo-giego syna człowieczego on tyle wart, tyle znaczy, może wię-cej, co ten, który na ziemi przewyższa go i nad nim panuje. On wie, że tak jak podobni jemu pasterze, pierwsi byli po-wołani i pierwsi pobiegli do szopy, tak w ziemskiej świątyni, czy w chwale niebieskiej jego obecność, jego serce, jego prośba, jego hołd, jego cierpienie i jego dusza są takie do-bre, a może miłsze, niż innych ludzi: on tam i tylko tam wszystkim równy co najmniej, jeżeli nie wyższy i starszy, on syn pierworodny, najmniej prawda psuty na ziemi, ale najdroższy i obsypany najbogatszymi błogosławieństwami.

Tego wszystkiego wyobrażeniem, streszczeniem, figurą, jest Narodzenie Pana Jezusa w stajni na sianie, i powołanie pasterzy, żeby go pierwsi poznali i uczyli. I w tem tajem-nica tego uroku, jaki Narodzenie wywiera na ubogich i pro-stych: nie mówiąc już o wyższych i wznioślejszych, ale tych wrażeń po ludzku tylko miłych, ufności, pewności siebie, podniesienia we własnych oczach, z jakimi oni o Narodze-niu Pańskim myślą. Wszystko to jest bezwiedne i zupełnie instynktowe, ale jest. Że zaś żadne inne święta i obrzędy, żadne pamiątki innych chwil życia Jezusa Chrystusa, nie mówią o tem właśnie tak wyraźnie i jasno, nie zmuszają tak koniecznie do uznania i do wyobrażenia sobie tego pierw-szeństwa danego ubogim, więc nie mogło być inaczej, jak że to święto, ta pamiątka, te części Ewangelii przemawiały najsilniej do serca i do wyobraźni ludu i że w żadne inne obrzędowe kościelne pieśni nie włożył on tyle serca i tyle wyobraźni, co w te. To mu było najdroższe i najpoufalsze, tu on się czuł zupełnie u siebie, między swoimi, w swoim żywiole, a zarazem nad siebie i nad całą ziemię wzniesio-nym. Nie dziw, że i z upodobania nad tem zatrzymywał się najwięcej, najwięcej myślał i wyobrażał sobie, i że mógł zrobić i więcej i lepiej, niż na innem polu.

To jest myśl podstawna, to jest górujące uczucie, i nie znajdzie się prawie kolędy, któraby nie z tego była wyszła, nie obracała się około tego. Zaraz te dwie kolędy *par excel-lence*, te klasyczne, tradycją i użytkiem kościelnym tak uświęcone, że pierwsze zawsze stają na myśli, te są wyra-zem chwały i uwielbienia. „O dziwne narodzenie, nigdy nie wysłowione,“ ale i chwały ubóstwa. Pierwsza prawie rzecz, jaką „Anioł pasterzom mówił,“ jest, że „Pan stworzenia wszego, narodził się w ubóstwie, pałacu kosztownego żad-nego nie miał zbudowanego,“ i że Pan chwały wielkiej uniżył się... A ta druga, która opowiada, że „w żłobie leży“ wraca do tego samego i powtarza bez ustanku, że „ubogo narodzony,“ pyta, „Co się stało, że rozkoszy niebie-skie opuściłeś a zstąpiłeś na te nizkości ziemskie?“

Czem w żłobeczku nie w kółeczku
Na sianku położony,
Czem z bydłety nie z panięty
W stajni jesteś złożony?

Czy mamy mówić o poetycznej wartości, czy piękno-ści tych dwóch kolęd naczelných, typowych, które czy są wiekiem starsze, czy nie, otoczone są taką powagą, że wy-dają się jak matki całego rodu, jak źródła, z których wy-płynęły w różne strony wszystkie inne kolędy, jak motyw główny, z którego wyszło wiele wariacji i wiele osobnych kompozycji? Mówić o tem trudno. Naprzód, czy to przy-zwyczajenie, czy może ten związek słowa z nutą, który we-dług Herdera, jest istotą pieśni, ale nie można prawie ich czytać, nuta przeszkadza, tak się je zna zawsze tylko w śpie-wie, że bez niego prawie ich zrozumieć i poznać nie można. Przecież zmusiwszy się do uwagi i rozważywszy słowa same, widzi się, że to są rzeczy, które nie dadzą się tak sądzić, jak zwykła świecka poezja. Niema tam tych warunków piękności, jakich zwykle szukamy i jakie cenimy. Ani szcze-

gólnego dźwięku, ani nowych, śmiałych, świetnych zwrotów w formie, ani tego lirycznego rozrzwinięcia, które ściska za serce i pobudza do łez, ani jakiegś silnie wyrażonej religijnej exaltacji, któraby się schodziła z poetycznym natchnieniem, ani tej wyobraźni, która i sama widzi i widzieć daje przedmiot. Pod temi wszystkimi względami niema tu nic pięknego. Słowa najprostsze, ułożone bez sztuki i bez talentu (przynajmniej nie potrzeba było talentu na to, by je tak ułożyć). Nie ma nawet rymów, jeden wiersz kończy się na *mówił*, drugi na *narodził*, jeden na *mieście*, drugi na *ubóstwie*, i tak ciągle, czy umyślnie, czyli z niewiedomości i nieudolności, jakaś assonancya zastępuje rym. Żadną miarą, gdyby ktoś dziś tę samą kolędę napisał, nie powiedzielibyśmy, że jest piękna. A przecież robi wrażenie, wzrusza, przejmuje i ma tę więtość odwieczną i powszechną, która zawsze dowodzi, że jakaś prawda i jakaś piękność musi być w tej rzeczy, skoro ona przez tyle wieków milionom ludzi trafiała do serca i odpowiadała. Czy w tych kolędach czasem sam brak formy nie jest pięknoscią? czy ta niedbałość o warunki dobrego wiersza, o styl, o piękne wysłowienie, nie wybija na niej jakiegoś piętna oryginalnego, a pięknego przez to, że jest do śpiewów kościelnych i hymnów biblijnych nie podobne, ani zbliżone, ale z tej samej przyczyny, z tego samego początku płynące? Jak ten, kto uniesiony uwielbieniem i zapalem, nie liczył zgłosek i metrów, kiedy pisał czy improwizował *Te Deum laudamus*, jak hebrajski prorok kiedy Boga chwalił, lub siebie oskarżał, nie dobierał słów i nie troszczył się o formę, tak, że te słowa, które mu nasunęły się pierwsze, stawały jedne za drugimi, jak same chciały, tak, że formy tam niema prawie, tylko wyrażenie pojęcia czy uczucia: tak i tutaj autor kolędy, ktokolwiek on był, nie myślał ani o wierszu, ani o rymie, ani o stylu, ale tylko przejęty żywo tem, co miał na myśli i w sercu, chciał powiedzieć jakkolwiek, byle zrozumiale. Tak jak tam, formy niema jeszcze, jak tam, jest tylko treść, która się wyraziła, jak

mogła. Ale jak tam wielkie podniesienie i gorącość ducha jest i daje się czuć doskonale przez tę nieobmyślaną formę, i podnosi te słowa tak, że one mają wielkość i wzniosłość, choć jej nie szukają i o niej nie wiedzą, tak i tu przyczyna podobna wydała podobny skutek. Stopień jest mniejszy. Anioł z naszej kolędy nie ma natchnienia pieśni Dawida, ani tej potęgi, która jednym tchem wyśpiewała najwspanialszy hymn pochwalny na świecie, ale i on ma jakąś powagę prostą, która, choć on o wierszu nie myśli, daje mu jakąś pełność rytmu, prawie wspaniałą bez muzyki nawet, a przy muzyce uroczystą i majestatyczną zupełnie, kiedy oznajmuje z wysokości „Chrystus się nam narodził“ i przykazuje „Słuchajcież Boga Ojca jako wam go zaleca. Ten jest Syn mój najmilszy jedyny, z Raju wam obiecany, Tego wy słuchajcie.“

I tak jak śpiewy kościelne i psalmy, to się nigdy nie wyczerpie, nie obsłucha, nie spowszednieje. Choć odwieczne, jest zawsze nowe, zawsze robi wrażenie. Musi tam być jakaś myśl, która nie wietrzeje, i jakieś uczucie, które zawsze trafia do duszy; a im lepiej znać, im częściej słuchać, im bliżej się przyglądać, tem większe odkrywa się zasoby i głębokości tych myśli i uczuć, wyrażonych tak po prostu. Są to te same, które się znajdują we wszystkich kolędach: ale zwięzłe, krótko powiedziane, mieszczą się tu wszystkie razem, kiedy gdzieindziej są rozproszone. Wszystko, co nauka chrześcijańska mówi o Narodzeniu Syna Bożego, wszystko co przykazuje wierzyć, wszystko co wzięte do serca zapala je miłością i chwałą Bożą, jest tu w krótkich słowach zawarte: „Chrystus się nam narodził, Pan wszego stworzenia;“ to pierwsza wieść, to fundament Nowego Zakonu, to głośne wyznanie wiary. „Już się ono spełniło, co pod figurą było, Aaronowa różeczka zielona stała się nam kwitnąca i owoc rodząca,“ to stwierdzenie, że ta wiara opiera się na proroctwach, że jest ich spełnieniem, i że Stary Zakon pełen jest przepowiedni i figur Messyasza. Przytoczenie słów, któremi Ojciec Synowi świadczył przy chrzcie w Jordanie, jest tej

wiary argumentem: a ostatni wiersz tej strofy: „Tego wy słuchajcie,“ jest jej przykazaniem. Strofa czwarta, ta, co wspomina o Najświętszej Pannie „poczęła Syna w czystości, porodziła w całości Panieństwa swojego“ — wyznaje, że Chrystus począł się z Ducha Świętego, „a narodził z Maryi Dziewicy,“ bez której wspomnienia i czci, katolicka wiara, ani katolicka i polska modlitwa zupełną być nie może. Początkowe „narodził się w ubóstwie, pałacu kosztownego nie miał zbudowanego,“ to znowu ten konieczny pierwiastek kolędy, która zawsze musi pamiętać, że Syn Boży był ubogim i ubóstwo wywyższa i ubogich podnosi: a ostatnia strofa, to jest wyznanie Boga w Trójcy Ś-tej Jedyne go i prośba, żeby chwała jego nie ustała.

Są tu więc wszystkie zasady wiary chrześcijańskiej, wspomnienie wszystkich okoliczności, towarzyszących Narodzeniu, jest chwała oddana Bogu i w niej ukryta prośba, a wreszcie jest ten tryumf ubogich i prostych, który jest cechą, a po większej części i treścią kolęd. Jestto więc, jak żeby essencya z nich wszystkich, typ wszystkich; a jeżeli nie jest pierwszą z nich co do czasu i nie dała im początku, to jest z pewnością ich koroną i streszczeniem, bo wyraża najdobitniej i najzupełniej to, co jest we wszystkich innych. I dla tego w użytku kościelnym, jak w naszym uczuciu, ma pierwszeństwo przed wszystkimi; dla tego wrażenie, jakie ona robi, jest i najuroczystsze i najbardziej podnoszące. A nie będzie to najmniejszym tego wrażenia i jej wysokiego charakteru dowodem, ani jej najmniejszym zaszczytem, że polski *Signor dell'altissimo canto*, kiedy opowiadając dzieje swojego moralnego przeobrażenia, chciał dać poznać drogi, jakimi uczucia religijne wróciły do jego serca, wspomniawszy tę kolędę i jej na siebie wpływ, i w tej scenie aniołów, które zamyka trzecią część „Dziadów,“ aniołowi swemu włożył w usta śpiew, napisany tym samym rytmem i zastósowany do tej samej nuty.

„W żłobie leży“ treścią do tego bardzo podobne, a w przywiązaniu powszechnem nie mniej silnie zakorzenione, jest poufalsze, więcej ziemskie w tonie, a zarazem więcej nauczające i tłumaczące, kładzie wyraźniej do głowy to, co tam było powiedziane bez nauk i komentarzy. Najwięcej może popularna ze wszystkich kolęd, nie jest przecież wymyślona przez lud sam. Wskazówką niemyślną jest pewna erudycya, która się w niej widzieć daje. Wieśniak, jeżeli zna to imię Emanuela, które proroctwa dają Panu Jezusowi, to o Racheli płaczącej synów swoich i o rzeziach i jękach w Ramie prawdopodobnie nie słyszał, a w każdym razie nie powiedziałby, że Miłość Boska „wywyższyła człowieka pod niebo empirejskie“. Jest to więc prawdopodobnie robota człowieka wykształconego, najprędzej księdza, który czytywał Nowy i Stary Testament, a z łaciną i z mitologią nawet był obeznany. To wszakże rzeczy nie zmienia, i „W żłobie leży“ stało się pomimo tego i jest dziś zupełnie i prawdziwie ludową kolędą. Treść jej jest do poprzedzającej bardzo podobna. Naprzód obwieszczenie „Dobrej wieści“, dalej parę strof na ten sam temat „Narodził się w ubóstwie“; niema przecież tak zupełnego wyznania wiary, niema przypomnienia, proroctw, ani w zakończeniu takiego zwrotu pochwalnego, którym tamta jest niejako przypieczętowana. Ta jest jak żeby urwana: kończy się wspomnieniem Trzech Króli, a właściwie niema końca, mogłaby ciągnąć się dalej. Jest też więcej świecka: pastuszkowie ze swojemi piosneczkami już tu bardziej naprzód występują, ton jest poufalszy. A przyjęcie Chrystusa w ubóstwie tam stwierdzone tylko, tutaj jest wytłumaczone powodami, i to zastępuje tę naukę, która tam dana jest w jednej, przedostatniej strofie. Ten dyalog, w którym Chrystus Pan sam odpowiada pasterzom, zadziwionym jego stanem ubogim, to jest szersze rozwinięcie, wyraźniejszy wykład tego, co tam Anioł pasterzom mówił. Obie razem odznaczają się między kolędami charakterem najpoważniejszym i najwięcej religijnym. Modlitwy w nich niema lub

bardzo mało, ale chwała brzmi od początku do końca: a pierwiastku świeckiego, opowiadającego, w jednej niema wcale, w drugiej ledwo że jest. Jak zaś ta nieświadoma siebie prostota umie być wysoką i przejmującą, jak robi wrażenie poważne i podnoszące, wysoko religijne, to można poznać, kiedy się ją porówna z kolędami pisanymi przez ludzi wysoko wykształconych, literatów przynajmniej, jeżeli nie poetów.

Kolęda „Bóg się rodzi“ należy do najlepszych w swoim rodzaju; a choć za taką dość powszechnie uchodzi, choć jest podniesiona nutą istotnie bardzo ładną, nie potrafi nigdy zrobić takiego wrażenia, jak to nie uczone, źle napisane „W łożbie leży“. To jest bardzo ładne, ale w tych antytezach bardzo dobrze złożonych, w tych starannie dobranych zwrotach i wyrazach, jest coś stylistycznie poprawnego, akademicznego, ozdobnego, co mimo woli człowieka zawsze trochę ziębi: „Ogień krzepnie, blask ciemnieje“, to wyrażenia doskonałe, obrazowe, ale cokolwiek daleko szukane, a zrazu nawet nie bardzo zrozumiałe; trzeba pomyśleć, żeby dojść, że to blask Bóstwa przyćmił się w ludzkim ciecie. „Ma granice nieskończony“, to znowu śliczny, doskonały frazes, ale pojęcie nieskończoności i ograniczenia, zestawienie ich razem, to przecie trochę za uczone, filozoficzne. „Wzgardzony okryty chwałą, śmiertelny, król nad wiekami“ to są retoryczne antytezy, świetnie użyte, każdy pisarz mógłby ich pozazdrościć, ale na kolędę styl to za świetny, a retoryki za wiele. Sam ten epitet dany Panu niebiosów „obnażony“ jest bardzo poprawny i eufemiczny. Wiejski kolendziarz mówi „Jezus malusienki leży golusienki“ — ale to dziecko gołe i płaczące z zimna bardziej wzruszy i da więcej do myślenia niż ten „Pan niebiosów obnażony“. I zapytanie: Cóż niebo masz nad ziemiany“ i zwrot „Ubodzy, was to spotkało witać go przed bogaczami“ ezuć, że wyszły i z religijnej i z filozoficznej i z literackiej refleksyi. Dwie strofy ostatnie za to są śliczne na prawdę, jedna ma myśl głęboką i piękną, kiedy mówi, że „Bóstwo razem zmieszało dary Królów z wieśniaczami ofiarami“ i wszyst-

kie równo przyjmuje. A ostatnia ma nietylko rozrzewnienie patryotyczne, ale ma i wyrażenie, zwrot poetyczny, jeden z najpiękniejszych, kiedy mówi:

Podnieś rękę Boże dziecię!
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą, i t. d.

A przecie te doskonałości stylistyczne i te poetyczne natchnienia nawet, nie potrafią tak wzruszyć jak te słowa proste, któremi wiejski jakiś poeta woła: „A witajże pożądana perło droga z nieba“. Sama strofa jest szczególna: siedmiowierszowa; dwa pierwsze czternastozgłoskowe, bez miary długie, po nich cztery ośmizgłoskowe, i te rymują, każdy wiersz poprzedni z następnym. Ostatni dziewięciozgłoskowy, wolny zupełnie, i sam nie rymuje z niezem. W psalterzu Kochanowskiego możeby się znalazły strofy równie rozmaite, pełne śmiałych a niespodziewanych zmian i spadków, a poważne i harmonijne. A co za pytania śliczne, pełne prostoty w wyrażeniu a pobożności w uczuciu w strofie drugiej i czwartej.

Czyliż nie dość, mocny Boże, żeś na świecie z nami?
Zimno cierpisz dla nas grzesznych między bydłami!

Malusienki Jezu w łożbie,
Co za wielka miłość w Tobie,
Czyliż nie są wielkie dziwy:
W ludzkim ciecie Bóg prawdziwy
Przyszedł zbawić człowieka grzesznego.

Cóż to robisz Stwórco nieba, ziemi i wszystkiego,
Czyś zaś sobie nie mógł wybrać pałacu jakiego,
Ażeby był podobniejszy,
Pański pokój wygodniejszy,



A tu się oblewasz łzami,
Na zimnie pod obłokami,
Ubogi a drogi klejnocie!

Jakiż piękny zwrot skruchy i modlitwy w dwóch strofach ostatnich. Obok „W żłobie leży“ i „Anioł pasterzom mówił“, możnaby tę trzecią „A witajże perło droga“ policzyć do najpiękniejszych i najczystszych pereł naszej kolędowej poezyi. Wszystkie te trzy reprezentują w niej najlepiej rodzaj kolędy najbardziej religijny. Nie modlitwy, ale pieśni pochwalne i dziękczynne, nie błagalne, a przypominające, choć nie opowiadają, różne okoliczności Narodzenia, są one z treści swojej typowemi kolędami. Pierwiastkiem świeckim tyle tylko obciążone, ile koniecznie trzeba na to, by kolędami być mogły, mają wyższy lot i charakter, ton wznioślejszy od większej części kolęd, są z nich najpoważniejsze, najczyściej religijne i kościelne. A forma ich niewykształcona, byle jako zlepiąca od niechęcia, ma przecież taką szlachetność wyrażen, taką bezwiedną powagę i czystość, jaką naiwnemu pocie dać mogło tylko rzeczywiste i prawdziwe, choć o sobie nie wiedzące natchnienie. Jako najpiękniejsze niech służą te trzy do charakterystyki całej grupy kolęd, tej mianowicie, która jest najpobożniejsza, najściślej kościelna.

II.

Różne są stopnie i różne stosunki pierwiastku religijnego i świeckiego w kolędach, — różne ich formy, różne nawet przedmioty. W największej części pierwiastek świecki bierze górę nad religijnym, a w niektórych tak buja swobodnie a nawet rubasznie, że tamten poważny chowa się gdzieś zupełnie i kryje. Jestto zbytek tej poufałości, która stanowi główny wdzięk kolęd i niejako wyrodzenie się gatunku. W formie znowu ta różnica, że niektóre z nich są dyalogami, i to niekiedy dyalogami tak długimi i w tyle

osób, że stają się już jakąś sielankową sceną, w której ledwo gdzieś na końcu odezwie się przypomnienie Narodzenia. A co do przedmiotu i treści, to znowu te zachodzą między niemi różnice, że nie jedna obiera sobie jakąś chwilę, jakiś szczegół Narodzenia i ten wyłącznie prawie opowiada. Część największa mówi o pasterzach bieżących do szopy; ale są i o Trzech Królach, i o niewiniątkach, i o rzeczach późniejszych, jak cud w Kanie Galilejskiej, i o ucieczce do Egiptu, i o Najświętszej Pannie i św. Józefie, jak dążą na nocleg do Bethleem i znaleźć gospody nie mogą. Fantazya tych poetów, oczarowana bethleemskimi widokami i do nich przywiązana, każdym z nich z osobna zajmuje się i pieści. Owszem to, co poprzedziło Narodzenie, ten czas, który nazywamy Adventem, ma poświęconą sobie osobną grupę kilkudziesięciu pieśni, których treść główną składają albo Zwiastowanie, albo przypomnienie prorocत्व, zapowiadających narodzenie Messyasza z Dziewicy, albo przypomnienie nauk św. Pawła, jak w nowym czasie, nowy, odrodzony człowiek żyć powinien, albo wreszcie przypomnieniem tej konieczności odkupienia, która spowodowana grzechem Adama sprawiła, że Syn Boży z woli Ojca poświęcił się na to dzieło, wcielił i narodził. We wszystkich, jakie są, powtarza się nieodmienne jedna z tych czterech treści. Pomiędzy temi adwentowemi pieśniami znajduje się jedna bardzo znana i wzięta, której zaraz pierwsze słowo wskazuje dawny jej początek: „O gospodzie uwielbiona“, a druga nie mniej rozpowszechniona i równie ładna: „Zawitaj ranna jutrzeńko“. Ta zaś zasługuje na szczególną uwagę przez to, że jest jedną z tych bardzo rzadkich pieśni, w których jest modlitwa za ojczyznę i wspomnienie dawnego rządu Rzeczypospolitej. Zaczyna ona od modlitwy o zbawienie:

Zastaw nas tarczą zbawienia
Mocą swojego imienia,
Uszykujże nas w miejscach bezpiecznych,
Zbij nieprzyjaciółów wiecznych.

Ale załedwo to powiedziała, przechodzi do doczesnych nieprzyjaciół i spraw.

Zowiesz się naszą Królową,
 Bądź nam obroną gotową,
 Wyniszczyć z ojczyzny szkodliwe zdrady
 Sprawuj Senatorskie Rady,
 Wojska naszego rozprawą,
 Ty sama władać ich sławą,
 Weź nas pod swoją świętą obronę,
 Oddal Boski gniew na stronę.

Jakie to „szkodliwe zdrady“ miał na myśli autor tej pieśni, kiedy ją układał? Albo do jakiej rozprawy gotowało się nasze wojsko? Może pod Wiedeń, albo pod Chocim? te szkodliwe zdrady to może jaki rokosz, albo jaka przez obcych wymuszona elekcya? Dziwnie się człowiekowi robi, jak żeby go doleciało echo z dawnych wieków, kiedy starzec jaki z zapomnianego gdzieś kąta świata, który o zmianach na świecie mało wie i mało o nie pyta, śpiewa w kościele „sprawuj senatorskie rady“ i prosi dla nich o światło, jak żeby jeszcze radzili senatorowie.

Na pierwszym miejscu między kolędami trzeba położyć jedną, która mówi o tem, co się działo bezpośrednio przed Narodzeniem. (75 w zbiorze X. Mioduszeńskiego, w kantyczkach wydanych w Sączu u Pisma 1865, na str. 129 w. 79). Nie ma jeszcze ani aniołów, ani pasterzy, ani nawet Dzieciątka Jezus: Józef z Maryą, jeszcze nie Przenajświętsza Rodzina, jeszcze takich dwoje ludzi jak wszyscy, dążą na noc do Bethleem. Mężczyzna idzie naprzód spiesznym krokiem i nagli, bo noc bliska; kobieta ciężarna, znużona, nie może mu nadążyć i prosi, żeby miał wzgląd na jej stan i utrudzenie:

Pomaluśku Józefie, pomaluśku proszę,
 Widzisz, że ja nie mogę,
 Idąc tak daleko w drogę.

Wiejski poeta z dziwną jakąś intuicyą sztuki przenosi się na miejsce, widzi tych dwoje ludzi, każe im mówić i odgaduje frasunki kobiety w tem położeniu, albo może powtarza to, co mu się zdarzyło widzieć i słyszeć; bo jest w tem jakaś prawda, jakiś realizm, nawet i powszedniość, który u literata byłby pretensjonalnym, a tu przez naiwną poufałość ma wielki wdzięk.

A tak myślę sobie i chcę mówić tobie
 O gospodę spokojną, mnie w taki czas przystojną,

I dalej, jak prosta młoda gospodyni wiejska, córka porządnych rodziców i żona porządnego gospodarza, narzeka na pijaków i włóczęgów, nieledwie na złe czasy i zepsute obyczaje, o których słyszała.

Bo teraz w miasteczku
 I łada domeczku
 Trudno o kącik będzie,
 Gdy ludu pełno wszędzie,
 Wolą pijanicę,
 Szynkarską szklenicę,
 Niżeli mnie ubogą,
 Strudzoną wielką drogą.

Z obawy więc niepokoju i wrzasków, woli niewygodne, ale ciche schronienie w stajni:

Wnijdźmy, rada moja, do tego pokoja.

I ledwo weszła, już czas nadchodzi. Józef dodaje odwagi, służy, cieszy jak może. Kiedy w tem nowa troska — głos rodzącej odzywa się znowu z trwogą o dziecko:

Mój Józefie drogi, toć to ten mróz srogi
 Uziębnie nam dzieciątko, niebieskie pacholątko.

Czem go ogrzać choć trochę?

Przynieś trochę siana
 Pod główkę, pod kolana.

Wół i osioł zabierają się także do swego obowiązku
 ogrzewania ciepłym oddechem, i kończy się to wszystko krótkim
 słowem powitania nowonarodzonego dzieciątka:

Witaj królewiczu, niebieski dziedzicu,
 Bądź pochwalon bez miary.

Nie wiele się znajdzie kolęd, w których wyobraźnia
 byłaby tak żywo zdołała sobie scenę jakąś przedstawić;
 nie wiele, w których instynkt jakiś szczęśliwy byłby tak połą-
 czył poufałą, potoczną powszedniość rozmowy z jakimś nie-
 wypowiedzianem, ale dobrze dostrzedz się dającym przejęciem.
 Jako logiczne następstwo i układ tej treści, nawet jako forma,
 jako wiersz, kolęda ta należy do najlepszych; a naiwna po-
 ufałość, która w innych czasem przebiera miarę, w tej trzyma
 się szczęśliwie jakiejś szlachetnej prostoty, w której nie gi-
 nie ani poufałość, ani naiwne malowanie scen ewangelicz-
 nych podług wzoru jaki się znajdował w otaczającym życiu,
 a wrażenie zostaje właśnie przez to poetycznem i wysokiem.
 Najświętsza Panna była taką ubogą, zmęczoną kobietą, tak
 nie miała za co najać wygodnego pokoju, tak się mogła bać
 hałasu w gospodach, tak się troszczyć o zimno i tak mówić
 po prostu. Ten poeta, ktokolwiek on był, tak ją dobrze zo-
 baczył w swojej wyobraźni, że w jego kolędzie dziś prawie
 ją widzi czytelnik. A widzi tak prostą, tak naturalną, tak po-
 kornie wierzącą, tak przyjmującą swoje macierzyństwo, czu-
 jącą wielkość tego co się przez nią dzieje, a w swoim
 przekonaniu skromną i małą, że musi pomyśleć o dawnem

początkowem malarstwie włoskiem, o tych madonnach bardzo
 ziemskich, naiwnie rzeczywistych a przecież idealnych, któ-
 rym charakter taki z większym zapewne talentem, ale prze-
 cież bezwiednie nadawał Giotto, a po nim tytu, aż do Rafaela.

Kiedy mogła powstać ta najmisterniejsza może z kolęd?
 Któż to zgadnie. W zbiorze pieśni z r. 1754 (Kraków, dru-
 karnia akademicka) jej nie ma.

W tym samym rodzaju jest, druga, tylko zdaje się być
 kopią tamtej. Chwyta jej myśl i stara się ją inaczej przero-
 bić. „Najświętsza Panienka gdy porodzić miała, Józefa sta-
 ruszka o pokój pytała.“ Idzie święty Józef szukać, ale mu
 nigdzie przytułku dać niechcą.

Ani gospody, ani wody dano — i jeszcze złajano.
 Nie pukajże stary, mam tu ludzi dosyć i t. d.

Nareszcie jakiś lepszy człowiek pokazuje mu szopę.
 Prawdopodobnie tamta poddała pomysł i służyła za wzór,
 a ta chcąc coś nowego wymyśleć, wzięła sobie za przedmiot
 główny kłopoty i przykrości świętego Józefa, Najświętszą Pannę
 zostawiając na boku. Nie można powiedzieć, żeby ta nie
 była ładna, ale nie ma już tego wdzięku, już czuje się w niej
 jakiś zamiar, niema takiej naiwności zupełnej, jak tamta.

A potem pierwsza chwila po Narodzeniu: niema jeszcze
 nikogo w szopie, tylko Matka Boska i święty Józef, ich pierw-
 sze uczucia i pierwsze troski, kiedy pośród nich

Jezus malusienki leży golusienki

i jego pierwsze na świecie wrażenie, pierwsze cierpienie

Placze z zimna, nie dała mu matusia sukienki.

I ta biedna matusia tak uboga, że dziecka nie miała czem
 okryć, truchlejąca z żalu na jego cierpienie, nie tuli go, ale
 go prosi: i w chwili kiedy go na świat wydała, już myśli

o jego męce i potem wzywa Józefa, żeby go razem pierwszy Bogiem uznali.

Cztery strofy ostatnie, już nie od Najświętszej Panny ale od człowieka odkupionego, także bardzo ładne, zwłaszcza pierwsza z nich, która mówi, że Bóg człowiek nie może sobie poradzić, bo ma „rączki miłością związane.“ Tej także w starych kantyczkach nie znalazłem, co nie dowodzi, żeby koniecznie nowszą była, zbiory tylko mogły być i z pewnością są bardzo niezupełne, bo wtedy wydawcy chodziło o to, żeby dać jakieś pieśni do śpiewania, ale z pewnością nie o to, żeby zebrać wszystkie, ani żeby wybrać najpiękniejsze.

Ta, zkażkolwiek pochodzi, do takich liczyć się ma prawo, i należy do najrzadszych przez to, że w niej występuje tylko Przenajświętsza Rodzina sama, bez żadnych ziemskich świadków, niebo jest zupełnie u siebie w Betleemskiej stajni w tej chwili, której ta kolęda odpowiada.

Niebawem zajrzy do tej stajni ziemia. Jest zaraz kolęda, która wygląda znowu, jak żeby tamtą natchniona a cokolwiek tylko odmienna. Jest i Jezus golusienki w pieluszki owinięty, i rąbek zdjęty z głowy Najświętszej Panny, tylko jest już dodatek, są aniołowie i pasterze:

Przylecieli tak śliczni anieli,
Wszyscy w bieli, złote piórka mieli.

Sławne „W żłobie leży“ stanowi naturalnie przejście do kolęd więcej świeckich i opowiadających, a w każdym razie znane już przed rokiem 1754, wydało wiele kolęd podobnych, tak podobnych, że je prawie za parafrazy można uważać. Taka jest na przykład kolęda „A cóż to za dziecię“. Myśli są prawie te same, co tam w tej rozmowie między Dzieciątkiem a grzesznym człowiekiem, są nawet te same zwroty „w żłobeczku nie w łódeczku“, „Miłość twoja to sprawiła“, tylko są przytem elegancye stylu, przypominające w zabawny sposób gust XVII wieku, na przykład kiedy pyta:

Cóż to za przyczyna pociecho jedyna,
Że w posturze i w figurze stawasz ziemi syna.

Tej samej treści, tylko w zabawniejszym jeszcze stylu, przypominającym równie jak budowa wiersza i strofy dawną pieśń romansową o cyprysach i turkawkach i o okrutnej srodze bałamutnej pannie, jest kolęda „Apokaliptyczny Baranku“, tak charakterystyczna, tak ją czuć staropolszczyzną, że chwytą za serce i staje się nieopłaconą.

Jako parafrazy mniej więcej odmiennie i mniej więcej ładne „W żłobie leży“, trzeba przytoczyć „Kazał Anioł do Betleem Juda“, „Kiedy słyszę na obłokach anielskie śpiewanie“, „Obchodząc Jezusa dziś Narodzenie“, „Ogłaszamy dziś nowinę“, „Pan z nieba i łona Ojca“, „Gwiazda zaświtała nowa na wschodzie“, „Dziecina mała Bóg stwórca nieba“, i wiele innych. Śpiewana wiele po krakowskich kościołach „Gdy się Chrystus rodzi“, ze zwrotką *Gloria in Excelsis Deo* po każdej strofie, należy niewątpliwie do tej grupy, ale wygląda na nowszą i umyślną robotę.

Ale ciśnie się już w pieśń kościelną wieś polska i lud polski z całym swoim powszednim życiem. Zrazu nieśmiało tylko, dyskretnie, zostawiając pierwsze miejsce Dzieciątku i jego matce, a modlitwie więcej miejsca niż opowiadaniu. Taka na przykład jest kolęda, która opowiada jak „Wczora z wieczora z niebieskiego dwora przysła nam nowina: Panna rodzi Syna“. Zakończenie jej jest zupełnie pobożne i treścią do „W żłobie leży“ podobne, ale między początek a zakończenie wsunęli się pasterze i występują w szopie z większą niż tam konfidencyą:

Natychmiast pastuszy, radzi z drogiej duszy,
Do onej to budki bieżą wzięwszy dudki,
Chcący widzieć Pana, oddają barana,
Na kozłowym rogu krzyczą chwałę Bogu.

A te barany i kozy, dudki i multanki, niebawem zaczną odzywać się głośniejsze i śmielej. Zaraz w tej starej kolędzie (bo znajduje się w odwiecznych kantyczkach) „Zagrzmiała, runęła w Betleem ziemia“, w której śpiewający bez ceremonii interpelluje: „Kędyżeś, kędyżeś Józefie bywał“, a potem opowiada, że „Wół, osioł beczący, ryczący, Panu śpiewali“. Wół i osioł były dotąd wszędzie, ale zachowywały się poważnie, nie śmiały rubasznie beczeć i ryczeć; ale fantazyja ludu osuwając się z Narodzeniem, coraz poufalej mówi o niem prostym, zwykłym językiem, tym, którego lud używa w rozmowie i coraz więcej wprowadza miejscowego polskiego kolorytu i w końcu wprowadza lud sam jako aktora w tych scenach.

Ot na przykład Betleemski pasterz po nocy Narodzenia rozmyślając o dziwach, które słyszał i nie mogąc ich pojąć, opowiada, że „Cztery lata wołki pasał w tej tu dolinie“, a „jako żywo nie słyszał o tej nowinie“. Czy się go nie widzi z jego wołkami razem? Czy się nie ma ochoty spytać go, czy przez te cztery lata nigdy swoich wołów nie puścił w szkodę? To jest realizm najczystszy, ale realizm naiwny, który razem rozbawia i rozczula. A jakim on stylem ciągnie dalej swoje refleksje: „A tu wczoraj kompanija tak se mówiła, że Panna Syna w żłobie powiła“. Ma on nawet i ironię i z nią w połączeniu uczucie poetyczne, kiedy mówi, że to Dziecię leży „w gwiazdolitej dziś słonecznej stajence“, a ten piękny epitet „gwiazdolitej“ dostaje jej się dlatego oczywiście, że przez dziury w dachu widne były gwiazdy. A potem występują już w wszystkich niemal kolędach różne podarunki ubogie, i ten frasunek, czy takie skromne ofiarować można.

Zkąd się tu biorą te podarunki? Warto na nie zwrócić uwagę? Święty Łukasz (ewangelista Narodzenia przed innymi) choć najwięcej o pasterzach mówi, nie wspomina, żeby byli cokolwiek do szopy przynieśli. Złoto i kadzidło Trzech Króli jest wspomniane: barany, jabłka i tym podobne ofiary pasterzy nie. To więc jest dodatek, to poeta ludowy wyobraża sobie, co by zrobił on sam, co by zrobili jego sąsiedzi i przy-

jaciele, gdyby się dowiedzieli, że gdzieś podewsią w biednej dziurawej szopie leży podróżna z nowonarodzonym dzieckiem w niewygodzie i zimnie: wyobraża sobie, jakby mu żal było tej matki i tego dziecka, gdyby to do tego były jeszcze jakieś osoby znakomite, przywykłe do dostatku i wygody i mające do niego prawo? Nie można im dać zmarnieć i zmarznąć. Ta litość nad biednym, która sprawia, że żebrak nigdy prawie nie odejdzie od chaty bez posiłku, a obok niej ta wrodzona nam gościnność, przez którą czujemy się odpowiedzialni za człowieka obcego, za wędrowca który się do nas zabłąkał, one to każą pasterzom nieść do szopy, co który ma; a uczucie religijne znowu, pobożność instynktowa a silna, ta mówi, że na baranach i jabłkach nie dosyć, że one są ledwo figurą tej ofiary, którą tam naprzód złożyć należy. To też ta kolęda, jak wszystkie inne, powie niechybnie: „Wreszcie i serca naszego mu nie żałujmy“.

Bardzo też ładnie kończą się te kłopoty o podarunki śpiewem pasterzy, kiedy już w szopie stanęli:

Witaj Panie i Hetmanie, nasz dar nad dary,
Oto od nas wszystkich przyjmij serca ofiary,
Czołem bijem przy daninie Tobie paniezu,
Pieluszkami skrzepowany nieba dziedzicu,
Niech Ci będzie wieczna chwała od kompanii
Całej naszej, Józefowi, także Maryi.

I teraz pasterze i dary i rozmowy i narady i rubaszne żarty i nawet kulaki, sypać się będą jak z rogu obfitości i powtarzać w wielkim mnóstwie kolęd. Życie wdarło się w nią całym pędem i buja swobodnie w całej swojej powszedniości, która jednak, ozłocona Betleemską nadzwyczajną jasnością, nie tylko prozaiczną nie jest, ale właśnie w przeciwieństwie nabiera prawdziwego poetycznego uroku: z wyjątkiem naturalnie kolęd zbyt rubasznych lub zbyt nieudolnie napisanych.

I tak zaraz :

Dnia jednego o północy,
Gdym zasnął w ciężkiej niemocy,
Nie wiem czy na jawie, czy mi się śniło,
Że koło mej wody słońce świeciło.

Więc zrywa się ze słomy i woła na drugich. I to już nie jacykolwiek ludzie oznaczeni ogólnem mianem pasterzy, ale indywidua, z których każde ma swoje imię, i jakie jeszcze imię! Same Kuby, Maćki, Stachy, Bartki, Tomki. Wszystko to przycupło, nie śpi: ale udaje że śpi, bo się boi dziwów. Przecież musieli powstawać, bo „ich potrochu wziął za czuprynę, by poszli przywitać Boga dziecięcą“.

Jeden bowiem, Maciej, wie dobrze co się dzieje, patrzył i nie uląkł się jasności, i anioł mu powiedział:

Nie bój się, nie bój się Maćku pastuszk
Jesteś ty, jestem ja, u Boga służka.

Co za śliczny sposób uspokojenia i dodania odwagi Maćkowi, kiedy ten anioł przedstawia mu się jako kolega, jako jemu równy u Boga służka. A ile w tem życia i ruchu, jak występuje wyraźnie i ten Kazimierz, co ze strachu na słomie dyszy, i ten mówiący, co go „potrochu wziął za czuprynę“; możnaby przypuszczać, że to jakieś wspomnienia i portrety, że poeta myślał o jakichś sobie i całej wsi znanych parobkach, kiedy mówił, że Jacek był chudy, a Maciek musiał zostać za drzwiami bo z wielkim brzuchem nie mógł się weisnąć do szopy, a Szymek znowu, wiejski elegant, zdaje się, „w taniec stroił minę“ i „wymuskał sobie czuprynę“. Grali więc co żywo Bogu na chwałę, tańczyli drudzy, zdaje się, że ich tam nawet śty Józef musiał czemś poczęstować, bo na niczem nie zbywało — i tak im tam było dobrze, że

Z szopy nam się iść nie chciało,
Aleśmy ustąpić wprędce musieli,
Gdyśmy trzech monarchów jadąc ujrzeli.

A to zakończenie, czy także nie z życia wzięte i z natury malowane?

„Hej w dzień Narodzenia Syna jedynego“ bardzo do poprzedniej podobna, tylko jeszcze poufalsza, bo tu i osoby z Przenajświętszej Rodziny mieszają się do romowy, a mówią tym samym tonem, co pasterze. Bo kiedy Kuba, który nie miał co dać i za całą ofiarę chciał śpiewać, to „dobył tak wdzięcznego głosu baraniego, aż się stary Józef przestraszył od niego“ i już chciał uciekać, ledwo go wstrzymali. Ale prosił:

. nie śpiewaj tak pięknie,
Bo się twego głosu Dzieciątko przeleknę.

Nie zawsze Józef taki grzeczny, czasem gderze, czasem grozi, czasem bierze się nawet do kija. Częściej wprawdzie jest łaskaw i w dobrym humorze: parę razy nawet, ale to kiedy i o nim pasterze nie zapomnieli „i dla Józefa starego wziąć wina dobrego, by się dziaduś napił“, to się dziwnie rozochocił, i gdy wszyscy zaczęli tańczyć, a Jędrzej nie miał pary, „tańczył z nim Józef stary“. Innym razem tak zagrali skoczno, „że aż Józef stary, nie może się wstrzymać, skacze bez miary“. „I dziecię się cieszy i śmieje Panienska“, a wtedy Józef, kiedy Dziecię już śpiące, wyprasza gości z szopy, ale po przyjacielsku: „Za waszą taką szczodrość“ mówi „i za tę miłą ochotę — Bóg wam zapłaci“.

Przecież odchodzić nie chcą, wymawiają się, jak który może:

Jakże cię odejdziem pociecho nasza,
W tak okropne mrozy idąc do lasa,

Nie wyzeniesz nas ztąd Panie
Miłe nam z Tobą mieszkanie — w tej szopie.

Ale co zanadto, to niezdrowo, i Józef nie pozwala na
zbyt długą i huczną ochotę

Mówi Józef stary: Już dosyć tego!
Idźcie pastuszkowie do bydła swego,
Jużeście się naskakali,
Mnieście głowę sturbowali,
Także Maryi.

Próbują się z nim targować, proszą go bardzo ładnie:

Józefie staruszk, ojeze kochany,
Jakże mamy odejść Pana nad Pany,
My się radzi doczekali.
Żeśmy Boga oglądali...

Ale Józefowi naprzykrzyło się widocznie i myśli coś
złego, bo w końcu kapitulują:

Starego Józefa rady słuchajmy,
Bo laski pod żłobem maca,
Kto wie czy nie na nas bracia,
W nogi zawczasu!

Rzecz godna uwagi i dowód bardzo delikatnego uczucia
i jakiegoś instynktowego ale szlachetnego taktu, z Matką
Boską nie pozwalają sobie nigdy takich konfidencyj; ani ona
nigdy nie odezwie się w kolędzie tonem choćby najmniej
rubasznym. Święty Józef, to co innego, to człowiek lepszy
od innych, ale podobny do innych, można z nim być za
panie bracie. Ale Matka Boska, to coś wyższego, w niej już
ziemia się kończy i przechodzi w niebo, i ani z nią wypada,

ani ona tak poufale mówić nie może; i w szopie, choć się cza-
sem uśmiechnie albo odezwie, jest zawsze jak na ołtarzu,
a człowiek przed nią na kolanach.

Czasem ona zostaje sama i po tych hucznych powita-
niach usypia dziecko. Kolęda lubi wyobrażać sobie tę chwilę
snu dzieciątka Jezus, a Najświętszej Pannie kładzie czasem
w usta piosneczki wcale ładne:

Lulajże Jezuniu moja perłko,
Lulajże Jezuniu, mój aniołeczku.
Lulaj najwdzięczniejszy świata kwiateczku,
Lulajże przyjemna oczom gwiazdeczko,
Lulaj najśliczniejsze świata słoneczko.

Macierzyńska pieszczota zawsze nad małym dzieckiem
tak się rozczula, i daje mu nazwy najczulsze, widzi w niem
najwdzięczniejszy kwiatek i najjaśniejszą na świecie gwia-
zdeczkę.

III.

W miarę jak fantazja ludowych poetów oswaja się
z Narodzeniem, rośnie poufalskość, mnożą się jej oznaki. Dary,
zrazu z lekka tylko wspominane, występują liczniej i ozna-
czają się z większą precyzją: aktorowie (pasterze) mówią
coraz więcej i coraz śmielej, i coraz więcej o tem, co ich
samyh obchodzi. Kiedy w jednej kolędzie jeden zaniósł na
ofiara barana a drugi grał na multankach, inne kolędy wi-
dząc, że się to udało, jak żeby zazdrościły zrobionego efektu,
rozwodzą się nad tem szeroko i szczegółowo i wyprowadzają
na scenę wielką ilość pasterzy, z których każdy coś z sobą
zabiera: „Stach masła garnuszek, Kuba worek gruszek“,
trzeci jabłka, czwarty kury lub kapłony, jaja, prosię, mąkę,
krupy, mleko, śmietanę, chleb, ser, orzechy — ładny motyw
zaczyna powtarzać się za często i powszednieje. Tak samo
ma się rzecz i z muzycznymi instrumentami: wszystkie, jakie

kołędziarz znał lub o jakich z nazwiska słyszał, jeżeli był księdzem lub organistą, człowiekiem bywałym, składają się w orkiestrę, która przecież mniej robi efektu, niż jedne wiejskie skrzypce lub basy. Pasterz kiedy na takich wygrywa, wygląda po swojemu, a kiedy mu każą grać na wiolach, obojach, fletach, waltorniach i t. p., których się na wsi nigdy nie widzi i nie słyszy, wygląda pretensjonalnie i nie prawdziwie. Czuje się, że to już wymysł jakiej uczonej mądrej głowy, która się na coś ładnego albo zabawnego sadziła. Tak samo i licza tych pasterzy i ich imiona, kilku Maćków lub Bartków, kiedy się razem zbierają iść do Betleem, kiedy który z nich spadnie z budy i potłuczony zostaje w tyle za drugimi, kiedy się dziwią Dzieciątka lub ciekawie rozpytuja Józefa, mają niezaprzeczony wdzięk naiwności. Ale już Boileau powiedział, że wdzięk naiwny ginie, kiedy się często powtarza, a to w kołędach tak samo jak w dowcipach; i te z nich, w których figuruje pasterzy wielu i wiele imion, wyglądają tak, jak żeby były ukradły szczęśliwą myśl pierwotną, jak żeby ją chciały były naśladować z bogactwem, a naprawdę spowszedniały tylko i zepsuły. Rzecz to zwyczajna, która się zdarza nie samym tylko wiejskim kołędowym naśladowcom. Nie idzie zatem, żeby w tych kołędach już sztuczniejszych, już robionych z umysłu, na urząd, nie było wdzięku, albo humoru, albo zabawnych wybryków poufałości. „Hola hola pasterze z pola“, jest takich niby naiwnych szczegółów za wiele, ale są obok nich i pomysły ładne, albo charakterystyczne. Naprzykład to ofiarowanie jaj, kurcząt, masła i tym podobnych skromnych wiejskich darów:

Prosimy Cię Panie, nieba, ziemi dziedzicu,
Na te dary nasz Panie, na jakie chłopów stanie
Przyjmijże je koniecznie, bo Cię kochamy wiecznie.

Zwrotka powtarzająca się po każdej strofie jest niesmaczna, ale dwie ostatnie strofy, w których pasterze żegnają się i odchodzą — wcale ładne, zwłaszcza ostatnia,

w której prędko wynoszą się z szopy w strachu, żeby ich nie poturbowała czeladź najeżdżających Trzech Królów.

Czasem kołęda tak się spoufali i ośmieli, że staje się zupełnie rubaszna. Coś tam dla formy wspomni o Betleem i o dzieciątku Jezus, a naprawdę żartuje i to czasem dość grubym żartem, czy z pasterzy, czy z żyda karczmarza; gotowa nawet o samych aniołach mówić bez należącego respektu. Tak na przykład: „Oj widziałeś ty Banku co za dziwo było“, zaczyna jak wiele innych od tego, że Banek zląkł się jasności i ze strachu spadł z budy, tylko śmieje od innych opowiada, co sobie Banek stłukł, a potem puszcza wodze humorowi, który (przez kogokolwiek kołęda mogła być pisana) przypomina niezłe wiejskie żarty, na przykład, kiedy pasterze pytają o drogę do Betleem, a jeden najmędrszy, drwiąc z nich, takie im przepisuje *Itinerarium*: „Ot trzeba iść do Wieliczki, potem do Pinczowa a na koniec przez Pokucie do Nazaretu, a zamtąd już tylko pół mili“. — Albo kiedy żaluje aniołów, że cienko śpiewają, bo im wyszło w gardle, nie mieli go czem odwilżyć.

Osobliwsza pod względem i rubasznym poufałości i pomysłu jest kołęda: „Pasły się owce pod borem“. Owce idą skarżyć się na wilka, że je prześladowa, i na pasterzy, że ich pilnują niedbale. Jest w tem jakieś podobieństwo z bajką i z legendami św. Franciszka z Assyżu, w których pełno jest zwierząt mówiących poufale i pobożnie, a jest widocznie i allegorya także: ten wilk, to oczywiście człowiek jakiś, zły pan na przykład, który owce uciskał; niedbali pasterze, kto wie, czy nie księża, którzy ich bronić nie umieli. Wreszcie odbywa się ciekawy sąd, w którym owce dostają zupełną satysfakcję, a wilk sroga karę i surowe upomnienie:

Kazał Pan wilka zawołać,
Pasterzom sprawę obwołać,
Zbiegło się co żywo patrzeć na to dziwo
Do szopki.

Idzie wilk z płaczem do Pana,
 Niosąc na sobie barana,
 Prosi o pokutę, Pan mu też... w skórę
 Dać kazał.

Położyli go na gnoju,
 Bili potężnie do znoju,
 Owce pomagały, kijów dodawały
 Pasterzom.

Aż się go Pan sam użalił,
 Owieczkom tego nie chwalił,
 Że bez kompasyi krzywdy się swej mściły
 Nad wilkiem.

Idźże ty wilku do jamy,
 Pamiętaj za coś karany,
 Nie rusz mi owieczek ani jagniąteczek
 Kochanych.

Ale nie na tem koniec. Ukarany wilk chce przynajmniej mieć tę pociechę, żeby nie był sam jeden, i swoich braci wilków namawia, żeby poszli do Betleem, gdzie im sprawiono taką samą łaźnię.

Czy to nie autor kolędy marzy o tem, żeby wilki gdzie są tylko, dostały karę za prześladowanie owiec? Dość, że wilki zbite rzucają się na sprawcę swego nieszczęścia, a ten ginąc spowiada się ze swoich grzechów i prosi o przebaczenie:

Zlecam me sieroty dziatki,
 Teć wszystkie moje dostatki,
 Wyznam zgrzeszyłem, sto owiec zdławiłem
 I więcej.

Ci mnie to sprawy uwiedli,
 Sami ich z tysiąc pojedli,
 Proszę cię mój Panie, niech też za karanie
 Śmierć wezmą.

Trudno jest opędzić się wrażeniu, że to allegorya, a w takim razie byłaby ta kolęda ciekawym pomnikiem i wyrazem naszych dawnych społecznych stosunków; jako taka zaś byłaby wielką rzadkością, i przez to zasługiwałaby na szczególną uwagę.

Wilk nie ten jeden raz figuruje w kolędzie, choć może ten jedyny w sensie, tak prawdopodobnie allegorycznym. Zwykle jest on prostym wilkiem, który albo porwał barana, kiedy pasterze byli w szopie, albo ich nastraszył tylko; a kiedy odpędziwszy go zasnęli, budzą ich swoim śpiewem aniołowie. Trzeba mu przyznać, że z całego zwierzęcego królestwa, on najlepiej, najnaturalniej wydaje się i zachowuje w Betleem. Inne zwierzęta, a jest ich tam liczba nie mała, wyglądają wymuszone, nie swoje, jak żeby gwałtem tam spędzone. Są takie kolędy, w których zwierz i ptactwo wszelkiego rodzaju zlatuje się do stajenki i każdy swoim głosem Boga chwali. Dopóki tego mało, to wcale zdaje się ładne, na przykład:

Wróbel ptaszek nieboraczek
 Uziąblszy, śpiewa jak żaczek:
 Dziw dziw dziw dziw nad dziwy,
 Narodził się Bóg prawdziwy.
 A świerszcz znowu z swoim synem
 Tak świergoce za kominem:
 Cierp cierp cierp cierp miły Panie,
 Póki ten mróz nie ustanie i t. d.

Ale kiedy od orla dzierlatki, od słonia do myszy, każde po kolei coś mówi i robi, kolęda wtedy staje się bez miary długą a co więcej niesmaczną. Te zaś wyliczania różnych głosów zwierzęcych, to silenie się na harmonię niby naśladowniczą, te koncepta niby zabawne, pozwalają się domyślać, że kolęda pochodzi z czasów zepsutego smaku, czuć ją pierwszą połową XVIII. w. Taka jest na przykład: „W dzień Bożego narodzenia radość wszystkiego stworzenia“. Ładniej-

sza może od niej druga, która wyobraża sobie, jak wskutku odkupienia cała natura się podnosi, doskonali i wraca do rajskiej zgody i błogości, „lwami drzewo wożą, niedźwiedziami orzą, zając z chartem siedzą, z jednej misy jedzą“ i t. d. Są nawet takie, które muszą chyba być przerobione z jakiej mniej lub więcej dowcipnej gadki, na przykład jedna, która w dwóch pierwszych wierszach opowiada, że narodził się Zbawiciel, a zaraz po tym wstępie widocznie przylatany do rzeczy zupełnie innej, dodaje, że „żeniło się z dawnych lat ptactwa bardzo wiele“ i opisuje, kto się z kim żenił, kto ślub dawał, kto miał jaki urząd przy weselu, a w końcu jak po uczcie wszyscy się pobili.

A jak różnego rodzaju zwierzęta tak i narody wszystkie ludzkie przesuwają się w kolędzie. W XVIII wieku zapewne i przez jakiegoś trochę uczzonego człowieka, który o różnych językach wiedział i z każdego choć po parę słów polapał, napisaną być musiała bardzo znana kolęda, w której wszystko aż do cyganów i żydów musi przyjsć z pokłonem do Betleem. Nie jest ona bez humoru i charakteryzuje dość trafnie usposobienie obcych narodów, jak je dawniej Polak znał lub sobie wyobrażał. W swojej wersji najzupełniejszej zaczyna ona od Polaków ze wszystkich stron Rzpltej: Góral idzie z suszonemi śliwkami, Krakowiak brzęka kółczkami, Ślązak pędzi wieprze, Skalmierzacy mają guzy na łbach „znać po jarmarku“ — i tak dalej różni inni, aż do Litwina, który dostaje przytyka za *boćwinę* (widać zawsze śmiali się koroniarze z boćwiny), i Rusina. Dziwnie trafną wydaje się dziś strofa o Podlasiu, wyśmiewa ona ten pół ruski akcent i sposób mówienia:

Podlasianin niesie gąskę, siana wiązkę,
Taki dla Jezusa, którego ma dusza
Z całego serca miłuje,
Taki zatem nie żałuje
Dać jemu tego.

Podlasianin usprawiedliwił sławę, jaką mu robi kolęda: dowiódł, że „z całego serca miłuje“ i że „dać nie żałuje“ wszystkiego co ma — aż do życia!

Węgrzyn kusy z olejkami, Holender i Angielezyk, może gdzieś w Gdańsku dojrzany, Włoch w podrygach i w podskokach, Francuz, który przyszedł choć go nie proszono, wszystko to sylwetki, z których możemy się domyślać, jak naszym ojcom przedstawiał się narodowy typ każdego z nich. A Hiszpan, który w niebo dmucha „i pyta, czy w Madrycie narodzone dziecię“, bo oczywiście jemu przystało tylko urodzić się w Kastylii i jej ubliżył bardzo jeżeli przypadkiem urodził się gdzie indziej, nie jest nawet bez pewnej soli attyckiej.

Jest jedna makaroniczna, pół po polsku, pół po łacinie, tak niesmaczna, że możnaby ją bez wahania przysądzić do pierwszej połowy XVIII w. a za autora naznaczyć jej jakiego literata, który z infimy, parwy lub gramatyki poszedł na organistę lub klechę. Ale kiedy Kochanowski mógł napisać *Carmen Macaronicum*, to któż wie, może i ta kolęda ma jakie pochodzenie sławniejsze. Dowcipu ani humoru nie ma wcale. Niema ich wiele, ale ma jakieś zacięcie śmiałe i jakiś efekt komiczny, inna kolęda, którą posądziłbym także o pochodzenie z XVIII w., to ta, która opowiada cud w Kanie Galilejskiej, a śpiewa się zwykle w dzień św. Jana przy święceniu wina. Ona tak sobie te gody wyobraża, że bez mała powiedziałyby jak Mickiewicz: „I ja tam z gośćmi byłem:“

Wesele zacne bardzo sprawiono,
Pana Jezusa na nie proszono,
Z wielkim dostatkim potrawy noszą,
Wszystkiego dosyć mają, tylko wina czekają.

Potem ten pomysł godny czasów saskich, że

Prawdziwego Boga poznali.
Gdy zamiast wody wino czerpali

i wreszcie ochota, jaką cała kompania bierze się do tego wina:

Najświętsza Panna gdy skosztowała,
Z pełnego sobie nalać kazała.

Najświętsza Panna, co sobie z pełnego nalać każe i zapowiada, że dziś będzie piła, przypomina baby z komedyi Anezyca. To jest to miejsce jedyne w kolędach, w którem ona wygląda rubasźnie.

Apostołowie także nie wylewają za kołnierz:

Piotr z apostoły, stojąc przy dzbanie,
Woła na Jana: Pij do mnie Janie!
Pił Szymon garcem do Mateusza,
Filip konewką do Tadeusza.

Najzabawniejsze zaś wspomnienie i pożałowanie tych co wtedy jeszcze apostołami nie byli:

Pawle z Maciejem wam oskomina,
Żeście nie pili takiego wina,

i ostatnia strofa, prośba pół pobożna, pół hulaszczą i humorystyczną, w której królestwo niebieskie miesza się z ziemskimi przyjemnościami.

Przez narodzenie twojego syna
Każ nam Panienko nalewać wina.

Niepodobna jest wymieniać wszystkich; przecież do charakterystycznych należy jedna o trzech królach, których przyjazd do Betleem odbywa się ze wszystkimi strzałami i fajerwerkami, jakie autor mógł widzieć przy wjeździe jakich wielkich figur, a może i samego króla do jakiego miasta.

Osobny wdzięk naiwności miewają te kolędy, które będąc najczęściej parafrazą w „Żłobie leży“ i zapytawszy „ezem z bydlęty nie z panięty“ i t. d., uczą potem Pana Jezusa, że byłby lepiej zrobił, gdyby się był urodził gdzie indziej, gdzie i serca lepsze i większe dostatki. Na Kaszubach na przykład, gdzie byliby mu zaraz dali i czapkę z barankiem i bekieszę z pętlcami i jeść co tylko dusza zapragnie. Tak samo w innej zaręczają Kurpie, że „u nich w Ostrołęckiem na puszczy w starostwie nie byłby się rodził w takowem ubóstwie“, byłby miał wszystkiego dosyć, bo choć im polować nie dają i nawet strzelby straż leśna zabiera, to na sidła byliby przecie potrafili łowić dla niego zwierzyne. Zabawne jest to przeniesienie swoich wyobrażeń i obyczajów w odległe wieki i kraje, miły jest widok tego wieśniaka, jak z pewną dumą popisuje się swoim dostatkiem, a sympatyczny jest ten popęd uczucia, to dobre serce, które oddałoby Bogu co ma najlepszego i co ma za najlepsze.

Trzeba jeszcze wspomnieć dla sprawiedliwości o kolędach niesmacznych, sztucznie naiwnych albo grubo rubasznym. W tym pierwszym rodzaju prym trzymają może kolędy, układane dla zakonnic i przez nie śpiewane. Raz taka pobożna dusza jest owieczką ściganą przez wilka i chroni się od niego do Betleemskiej stajni; kiedy indziej jest wołem i osłem, i to wołem leniwym, który orać nie chce; albo znowu mówi, że jest kucharką Jezusową i gotuje mu:

Serce czyste i skruszone,
Ogniem miłości pieczone,
Do niego soporek,
Cierpliwości worek.
Na wety milezenie,
Woli utrapienie

i wszystko to nosi piętno swego czasu i o tyle ma wartość, że przypomina „pistolety do zabicia grzechu“ i tym podobne koncepta.

Inne znowu nadużywają bądź naiwności, bądź tej poufałości, z którą kolędzie jest bardzo ładnie, albo znowu o tyle więcej mają powtarzających się zwrotek i wykrzykników jak treści, że po kilku strofach muszą znudzić. Jedna na przykład ma strofy trzy wierszowe, a każdy pierwszy wiersz jest zawsze ten sam: drugi zaś prawie taki sam „O Józefie” — „Czego chcecie”. „Powiedzcie nam, gdzie się Chrystus narodził”. Potem „powiedzcie nam, kto go powijał, kto go kołysał, kto mu śpiewał, kto go odwiedzał”, i tak dalej bez końca. Albo inna znowu ma strofy dwuwierszowe, których każdy pierwszy zaczyna się a każdy drugi kończy się na: Hej, Hej, Hej! ta zaś straszna monotonia, jaka z tego powstaje, urozmaicona jest nieszczęśliwie mnóstwem imion pasterzy, z których każdy gra na innym instrumencie:

Sobek sobie w kobzę skrobie,
Wojtek ryczy na basicy,
Filip plecie na kornecie
Jaś wybornie na walldhornie,

i takich kilkadziesiąt, i nie więcej. Cała mądrość i sztuka w tem, żeby dobrać (nieszczęśliwie do tego) rymy do wszystkich na świecie instrumentów. Wszystko to są kopie robione głupio, w tem błędnem mniemaniu, że jak się więcej nasadzi tego co się u drugich raz podobało, zrobi się kolędę tyle razy piękniejszą, ile razy więcej jest imion ludzi i nazwisk instrumentów. I kiedy chcąc być zabawnym, autor kolędy opowiada, że jeden złapał mendel kotów i ciągnąc je za ogony grał jak na fagotach, drugi zamiast strun naciągnął kielbasy na basetle, albo że z wielkiej uciechy w tańcach i śpiewach w szopie zagęściło się powietrze tak, że trudno już było wytrzymać, wtedy cały wrodzony wdzięk kolędy przepada, nie ma już ani prostoty ani poufałości, ani tej zwykłej tak szczęśliwej i miłej miary w jednej i drugiej, jest tylko sadzenie się na koncept, który zabawnym być chce a nie umie, jest wyrodzenie się rodzaju.

IV.

Przejdźmy do kolęd dyalogowych. Zaród dyalogu jest w bardzo wielu; w najpobożniejszych nawet trafia się prawie zawsze jakaś rozmowa, aniołów z pasterzami, tych między sobą, albo odkupionego człowieka z Odkupicielem. W opowiadających tem bardziej. Ale z tego zarodu rozwinął się w niektórych dyalog zupełny, formalny, czasem pobożnie idylliczny, czasem humorystyczny, a nawet i całe sceny. „Hej pasterze! pasterze! powiedzcie jeno szczerze, kędyście dziś chodzili?” pytają pasterki: a każda strofa jest na przemian pytaniem i odpowiedzią. Pasterki chcą wiedzieć, gdzie dzieciątko narodzone, w czym leży, kto mu służy, kto i jak do snu mu śpiewa, pasterze opowiadają co widzieli. Nie jest to bez wdzięku, ale ten charakter Pasterek, którego poeta ludowa nigdy, o ile wiem, dziewczętom nie daje, wprowadza na podejrzenie, że to sztuczna robota kogoś, co słyszał o łacińskich i francuskich a już co najmniej o polskich idyllach. Dlatego bez porównania ładniejszy, bo wprost z życia wzięty i z szczęśliwym uchwyceniem prawdy ułożony jest pewien dyalog między chłopem a żydem. Niema w tem dowcipu może, ale jest jakiś prosty humor, który przypomina niektóre rozmowy w Apophtegmatach Reja, i jakiś realizm w tonie i stylu obudwóch, taki, że zdaje się, jak żeby się słyszało jakieś echo z karczmy lub z jarmarku. Chłop zaczepia żyda z lekceważeniem, z góry i despotycznie, a ostatni argument tej teologicznej dysputy jest kij; żyd bystrzejszy, sprytniejszy, ironiczny, wykręca się, jak może, a kija się boi. Weale nawet jest komiczny, kiedy na argument chłopca, że Messyas musi być prawdziwy, skoro aż królowie ze wschodu przyjechali do niego i przywieźli dary, odpowiada, że to kadzidło i tę mirrę u niego w kramie po drodze kupowali.

Dyalog ten atoli rozwija się niekiedy i staje prawie nie sztuką, bo nie mając żadnej akcyi tem być nie może, ale sceną, która dałaby się grać na teatrze. Mnożą się aktorowie, urozmaica się dyalog. Czasem jedna osoba zostaje na scenie i prawi monolog, czasem rzecz się ożywia i osób kilkanaście wbiega w wielkiem poruszeniu; często, zawsze nawet miesza się śpiew, i to nabożny. Niezaprzeczenie jest w takich kolędach jakiś zaród i jakiś instynkt kompozycyi dramatycznej, kiedy wszyscy pasterze śpią, a jeden tylko pilnuje bydła i śpiewa sobie jak codzień; efekt tych zdarzeń nadzwyczajnych, które zaraz nastapia, będzie daleko większy, jeżeli one spadną niespodzianie wśród całej powszedniości zwyczajnego życia. Kiedy pasterz śpiewa, uderza go jasność jakaś nigdy niewidziana:

Jakieś wojsko z nieba leci
Zdaje mi się, że śpiewają
Ogniem ziemię zapalają.

Chór przelatujących aniołów śpiewa po trzy razy: *Gloria in Excelsis*.

Maciek przełknięty budzi Stacha: mała scena komiczna, Stach nie chce wstawać, żartuje z Maćka że się boi albo sobie przywiduje; wreszcie porwał się i zobaczył jasność. — Zapewne to jakaś zła wróżba.

Oj prawdać. Już widzę, ale to nie żarty,
Mój Maćku, mój śliczny, cóż więc poczyniwa.

I znowu zmienia się scena, budzą innych:

A czegoż wrzeszczyta, cóż się złego stało?
Pewnie naszą trzodę nieszczęście spotkało.

Ale kiedy jeszcze raz wszystkim dało się słyszeć anielskie *Gloria*, nie można już przeczyć ani wątpić, że się dzieje

coś wielkiego, ale co? Może Bartosz wytłómaczy, bo on naj-mądrzejszy, i czytać się uczył i lata ma stare.

Zaczyna się główna scena, bo dotąd było tylko przygotowanie. Anioł wraca, obwieszcza Narodzenie i każe iść do Betleem. Gdy zniknął, nowa narada, pasterze nie bardzo rozumieją, czego od nich chciał.

WALEK:

Już ja wcale pierwszy nie pojmuje tego,
Każą iść do Betleem, a ja nie wiem czego.

Więc znowu stary Bartosz musi tłómaczyć, jak Adam zgrzeszył, z czego przyszło, że Syn Boży musiał narodzić się i umrzeć, żeby człowieka odkupił.

I potem dopiero wybierają się do Betleem ze swemi podarunkami, tylko niewierny Walek protestuje:

Tak też — wszyscy pójdą, a kto dojrzy trzody?
A z tego wszystkiego taki będzie skutek,
Wiley zjedzą trzodę, nam zostawią smutek.

Idą przecież wszyscy, śpiewając po drodze kolędy, a gdy przyszli i Bartosz ich porządnie uszykował w szopie, klękają i śpiewają drugą, bardzo ładną:

Ach ubogi złobie, cóż ja widzę w tobie!
Droższy widok, niż ma niebo, w małej osobie,

a w końcu przypomina im Bartosz, że czas już do trzody powracać. Niezaprzeczenie jest w tem jakiś ciąg, jakiś związek; jest na przemian pierwiastek komiczny i wznioślejszy liryczny. Kiedy się czyta, że dramat grecki wyszedł z nabożnych liturgicznych pieśni i przedstawień, że dramat nowoczesny powstał z podobnych początków, nasuwa się pytanie, czy taki dyalog jak ten, nie jest do owych początków

dramatu podobnym: czy ten zaród tragedyi greckiej, który miał jeździć na wózku Thespisa, nie był tak pierwotnym w formie, tak niezręcznym a naiwnym w przedstawieniu, tak religijnym w treści, jak te rozmowy Maćka ze Stachem: czy ten pierwiastek, który z czasem wyrobił się na wspańiale chóry Sofoklesa, nie był w początkach jakimś śpiewem tak prostym jak kolędy tych pasterzy? czy ten rozumny i rozważny Bartosz nie miał u Thespisa jakich figur sobie pokrewnych, które z czasem zamieniły się w mądrość i powagę chóru. Kto wie czy te początki wielkich rzeczy nie były tak skromne jak nasza pastoralka; kto wie czy w niej nie było jakiego ziarna dramatu, które przygłuszone zasiewem obcym rozwinąć się nie zdoła. Jak w szopce można rozpoznać wyraźne ślady dawnych misteryów, tak w tych idylliczno pobożnych dyalogach wolno się domyślać podobieństwa z temi religijno obrzędowymi przedstawieniami, które miały być początkiem dramatu.

Jest inny dyalog — i do tego tak podobny, że musi chyba być jego kopia, ale daleko mniej ładny. Naprzód musiał być napisany nie przez prawdziwie ludowego poetę, ale przez kogoś co się w takiego bawił w czasie, kiedy lud wszedł w modę, zatem niedawno. Dowód nie mylny, że pisana jest ze wszystkimi błędami ludowej gramatyki, a nawet wymowy; to skrupulatne zachowywanie wszystkich *s* zamiast *sz*, *c* zamiast *cz* i *z* zamiast *ż*, budzi podejrzenia. Potem niema tego szczęśliwego instynktu, który tam stworzył jakąś budowę dość regularną i wywoływał pewne efekta sceniczne, nie ma tego wstępu, który tam podnosił wrażenie następnej sceny; tu rzecz zaczyna się od obudzenia pasterzy przez tego, który nie spał. Nauka Bartosza dokładniejsza, dłuższa, chce być poprawną edycją tamtej, a jest tylko dość niezgrabną jej parafrazą. Wybieranie się w drogę i wyliczanie różnych pasterskich podarunków trwa za długo, staje się monotonnem i ciężkiem.

Jest jedna jeszcze, którą ksiądz Mioduszewski w swoim zbiorze nazywa „Pastoralką Góralską“, a dodaje, że bywa nawet grana przez chłopców chodzących z szopką. Ta różniąc się znacznie od najpowszechniejszego typu szopek, trzyma niejako środek pomiędzy kolędą a takim scenicznym przedstawieniem (przez żywe osoby lub lalki). Zaczyna ją prolog dość nudny, pedantyczny, napisany stylem ciężkim przez jakiego nauczyciela lub księdza, a przypominającym wiek XVIII — mogłaby napisać go Družbacka, i mogłaby jeszcze nim się chwalić.

Kiedy się kortyna podnosi, góral jeden, Kuba, pędzi swój statek na paszę i przyśpiewuje im jakiegoś krakowiaczka; od podobnych śpiewów zaczynają się nieraz sielanki Szymonowicza:

Hej bydeleczek w pole, hej owieczki moje,
Paścież mi się, paście, a w kupie oboje.

Śpiewem zwabieni przychodzą dwaj drudzy górale, Maścibrzuch i Furgol, i zaczyna się scena ciekawa, idylla z pewnem żądłem satyry i to dość ostrem, a żądło tej satyry godzi w dwa cele, w chłopca próżniaka posibrzucha a głupiego, i w pana, a zwłaszcza ekonoma. W humorze zaś, w sposobie mówienia, w komiczności tej figury jest jakieś podobieństwo z niektórymi bohaterami ludowych komedyj Ancyzyca. *Curriculum vitae*, które Maścibrzuch z taką chlubą opowiada, przypomina dzieje młodości pani Koguciny, jak służyła za pannę do świń.

Ojciec z dziada, ja z ojca, jest zawsze pastucha,
Matka kozy pasła, a z nią siostra głucha:
Bywałem też u ludzi, nie w domum się chował
I z kuchtami dworskimi za pan brat obcował.
Dworsey mnie też lubili, żem grywał na lirze,
To mi często dawali oblizać talerze.

KUBA:

Nie darmoć się, jak widzę, gęba wykrzywiła:
 Pewnieć temu, żżś dworskich kęsków jadał siła.
 A gdy zgniłe flaczyska kucharze płukali,
 Tyś rozumiał, żeć wina, małmazji dali.
 A cóż dopiero mówić, jak cię szanowano:
 Gdy pan kazał rozciągnąć, nizkoć się kłaniano.

Nie można zaprzeczyć, żeby w tem nie było pewnego humoru i pewnej dosadnej ironii.

Potem nowa scena, przybywa nowy aktor Cedzimlek, sfrasowany po baranie, który mu się gdzieś zapodział, a że na frasunek dobry trunek, dobywa któryś flaszki z gorzałką, Intermezzo komiczne, figiel, pustota, która wiejską publiczność musi bardzo śmieszyć. Flaszka jest oplatana, tak, że nie widać, iż w niej wódki nie ma. Ten co ją nosi, złapał pierwszego pasterza, który znowu nie chcąc się przyznać i być samemu wystrychniętym na dudka, nie mówi i podaje flaszkę drugiemu, aż tak z ręki do ręki obeszła i oszukała wszystkich.

Wśród tego aniołowie zaczynają *Gloria*. Wielki przestrach, wszyscy górale chcą uciekać, jeden tylko waleczny Furgol podnosi pałkę do góry, z kąda głos słyszy i zuchwale interpelluje anioła. Anioł się nie obraził, ale owszem wszystko porządnie wytłumaczył:

FURGOŁ:

Hej! ozwijno się lepiej, powiedz, coć potrzeba,
 A pocoś tu zlął z nieba, powiadaj nam chłopie,
 A gadajże dokładniej, bo weźmiesz tym kołem.

ANIOŁ:

Pastuszkowie postójcie! co powiem, słuchajcie:
 Do Betleem miasteczka czempredzej biegajcie,
 Znajdziecie tam w żłobie złożonego Pana i t. d.

Potem wszysej ze swemi darami idą do Betleem.

Na takich rzeczach można zobaczyć wyraźnie, prawie się dotknąć tego procesu przeobrażenia, przez który śpiew religijny staje się przedstawieniem scenicznem. A do tego punktu przejścia doszedłszy, nie podobna jest nie wspomnieć o Szopce, która z kołedy powstała, należy do niej treścią i duchem, choć różni się formą, a wszędzie po całej Polsce, po wsiach jak po miastach rozpowszechniona, należy niezaprzeczenie do literatury ludowej.

Czem ona jest?

Reminiscencją dawnych misteryów, czy ich późniejszym naśladowaniem, czy może w zmienionym języku za- bytkiem ich pierwotnego niewykształconego jeszcze początku? Dawniejsza, współczesna, czy późniejsza, czy sama dała początek religijno-dramatycznym przedstawieniom, czy współcześnie przenosiła na swój mały teatrzyk i przedstawiała lalkami to co widziała granem przez ludzi, czy wreszcie była ostatniem echem i śladem, zdrobnieniem misteryów, w każdym razie trzebaby być ślepym, żeby nie widzieć pokrewieństwa między Szopką a średniowiecznem misteryum, jak je dawne świadectwa opisują. Wszakżeż to, według tych świadectw, miało być cechą i właściwością tych przedstawień, że akcja główna, zawsze poważno-religijna, przeplatana była luźnemi epizodami, które do niej nie należały, a wyobrażały jakieś sceny i typy świeckie, współczesne, potoczne i komiczne; wszakże nadużycie tych ostatnich miało sprowadzić zakaz tych przedstawień i wyrzucenie ich z kościoła naprzód, a potem i z obyczaju. Weźmy teraz plan Szopki i przypatrzmy mu się dokładnie: cóż w nim zobaczymy? Oto wielką liczbę takich epizodów, takich intermedyów komicznych, które zmieniają się dowolnie i nieskończenie i w każdej niemal okolicy bywają inne; ale przy nich jest zawsze i nieodmiennie treść główna, ułożona w jakiś ciąg i związek, z Nowego Testamentu wzięta, i prawie zawsze a można rzec bez wyjątku zawsze w całej Polsce ta sama. Dramatem, który się w Szopce odgrywa, jest rzeź niewiniątek,

jego głównym bohaterem król Heród, jego katastrofą i moralną nauką (choć ta tragiczna katastrofa i ten morał ukazują się w formie humorystycznej) jest śmierć i rozpacz Heroda. I ta sprawa przeprowadzona jest przez różne stopnie i zawikłania: Heród rozkazuje dowiedzieć się o nowonarodzonym Messyaszu, odbiera wiadomość, wydaje rozkaz wymordowania wszystkich chłopców do dwóch lat, żona próbuje go wstrzymać, ubłagać, przeczuwa coś złego, tak jak przeczuwała żona Pilata. Czasem zdarzy się wariant, dodatek dramatyzujący sytuację, ten mianowicie, że zły król i własnemu synowi przepuszczać nie każe, a matka w rozpacz przykłada go i porzuca. Potem dopiero następuje zgryzota, rozpacz i śmierć. Zapomnijmy o tem, że to lalki grają te straszne sceny, zapomnijmy zwłaszcza o nieudolności, z jaką te wszystkie uczucia są wyrażone, zapomnijmy wreszcie i o tem, że śmierć kiedy się z Herodem pasuje i kiedy go ścina, że dyabeł, kiedy go wlecze za kulisy, że żyd, który schowany gdzieś w kącie jest niemy świadkiem tej sceny, że to wszystko jest, dowcipne czy nie, ale żartobliwe, komiczne — a znajdziemy, że każda z tych scen mogła być w tym samym porządku nawet znajdować się w poważnym, poważnie napisanym i pobożnie granym misterjum. Ono było dłuższe zapewne, napisane bardziej po literacku i uczenie, i oczywiście, choć nie bardzo dobrze, ale musiało być napisane lepiej; i treść jednak i plan musi być kopią a przynajmniej wspomnieniem, dziś już bezwiednym, jakiegoś religijnego dramatu czy dialogu.

Ci zaś chłopcy, żydzi, żołnierze, szlachcice i t. d., którzy dziś w naszej Szopce występują, oni są oczywistym zabytkiem komicznych intermedjów, które w plan tych dialogów owego czasu wchodzić musiały koniecznie. Wtedy zapewne inne figury, inne śmieszności rozweselały publiczność, i były zapewne więcej rozwinięte, musiały mieć więcej dramatycznego i komicznego żywiołu; ale dzisiejszy żyd i góral i kozak i ułan jest niewątpliwie ich potomkiem, tylko bardzo

zdrobniałym. To też, choć się w Szopce nie często (jeżeli kiedy zgoła) zdarzy napotkać, czy to to jakiś błysk poetycznego uczucia, czy wdzięk naiwnego wyrażenia, wreszcie wybryk choć cokolwiek zabawny humoru bodaj najbardziej rubasznego, choć biedna Szopka nie jest ani bardzo mądra, ani bardzo zabawna, a w jej częstochowskich wierszach niczego prócz intencji dopatrzyć się nie można, przecież należy się patrzeć na nią z uszanowaniem i z sympatją i z ciekawością. Taka skromna, taka biedna, taka licha jak jest, ona przecież swoim nieudolnym a często fałszywym głosem uczy i daje poznać czem mogły być, jak mogły wyglądać te połączenia religijnego uczucia z poetyczną wyobraźnią, z potrzebą teatralnych widowisk i z komiczną wena, na które z takim pobożnym przejęciem i z taką świecką ciekawością i rozkoszą zbiegała się publiczność XV, XVI a u nas podobno i XVII wieku. Kiedy Szajnocha opisuje Kraków XV wieku tak żywo, jak żeby go znał, pod wrażeniem opisu dałoby się Bóg wie co za to, żeby go takim choć przez sen zobaczyć. Kiedy się spotka lada kawałek muru, lada zaulek uliczny, lada framugę lub gzyms, który zdaje się przypominać czasy Kazimierza albo Jadwigi, jak wtedy wyobraźnia pędzi i buja, jak z tego drobiazgu wyprowadza różne kombinacje i składa sobie obrazy dawnej Polski. Otóż takim okrucieństwem muru czy gzymsu, takim drobiazgiem odpadłym od gmachu przeszłości, ale drobiazgiem, który ślad swego pochodzenia zachował, jest Szopka: a kto lubi błędząc po starych brudnych a przecie malowniczych kątach wyobrażać sobie fizjognomię miasta przed wiekami, ten słuchając Szopki potrafi także wystawić sobie i rusztowanie i dekoracje w kościele, i dramat podobny i podobne sceny komiczne (tylko na większą skalę) grane przez cechową lub szkolną młodzież, i tłum malowniczy, różnobarwny, od święta ubrany w co ma najlepszego, patrzący ze zgrozą prawdziwą na Heroda, płaczący nad niewiniątkami, śmiejący się do łez z przygód i figlów jakiego wojskowego pacholka.

Ale nie w tem cała wartość i cały wdzięk Szopki. Archeologia jest szanowna, ale można o niej powiedzieć, jak Göthe o teoryi, że jest szara, a drzewo życia wiecznie zielone. Otóż tego drzewa pączki dają się widzieć i zielenieją na tej skromnej gałązce. Nie wszystkie Szopki są równie świetne, ale i najskromniejsza wiejska strzeli czasem jakim samorodnym conceptem, albo jakim wyrażeniem, w którym znajdzie się coś charakterystycznego i ciekawego, czy myśl trafna, czy humor, czy jaki szczegół z życia wzięty a typowy. Świetniejsze zaś i cywilizowane Szopki, krakowskie naprzykład, mają takich zielonych listków więcej, po których kiedyś ludzie poznawać będą tę lub ową stronę naszego życia. Żart naprzykład, żart stały, tradycyjny, ten, którym śmieje się chłop z żyda, albo dostatni mieszkańiec równin z górala, któremu się tylko owies rodzi, i to jest coś choć małe; a znajdzie się więcej.

Co znaczy naprzykład ułan z chorągiewką albo krakus z kosą, kiedy wychodzi i śpiewa coś o bronii, która mu już na nic, albo o kratkach więzienia? Wiersze są bardzo liche, ale coś wyrażają przecie, wspominają coś; ten ułan i ten krakus, jeżeli nie dawniej, to z pewnością dostali się do Szopki po roku 1831, są zabytkami ostatniej narodowej wojny, a tym śpiewem, który jako taki jest nie wiele wart, podają dalej, utrzymują, przypominają uczucia i chwile Grochowa lub Racławic. Kiedy w wierszach nie lepszych wcale naiwny krakowiak wychwala swój Rynek i swoje Sukiennice i swoje wieże, jako na cały świat sławne z piękności, kiedy wspomina, jak tam królowie dawali bale, albo zaręcza, że nie zapomni imienia Kaźmierza, to trzeba w tem widzieć i szanować dowód jednej rzeczy, bardzo potrzebnej i ważnej i pocieszającej: oto, że ten, co te liche wiersze składał i ten, co je śpiewa, wie coś o Kaźmierzu i o ułanie, że o nich pamięta, że o nich myśli! On tych wierszy nie układał i nie śpiewa dla przypodobania się publiczności: on powiedział i śpiewa to, co wie i myśli, a później nauczy

drugich młodszych tej samej śpiewki lichej, której znaczenie i wartość praktyczna nie są tak liche, jak jej pozór.

Szanujmy Szopkę, szanujmy zwłaszcza kołędę. Ta stanowi część najbogatszą, a w każdym razie najbardziej oryginalną naszej poezyi ludowej. Sympatyczna swoją prostotą i naiwnością, swoim humorem często charakterystycznym i typowym, godna jest uwagi a pełna wdzięku przez to zwłaszcza, że jest bezwiednym ale niemylnym wyrazem uczuć dobrych, szlachetnych, czasem zupełnie wysokich, czasem delikatnych; że natura polska w tem zwierciadle czy wizerunku odbita pokazuje się dobrą i sympatyczną. Jest prócz tego kołęda i żywym pomnikiem dawnych wieków, spuścizną która nas z niemi łączy, i jest dziś jeszcze w teraźniejszości, takiego związku i łączności, jeżeli nie środkiem, to przynajmniej znakiem. Mówi się zawsze na całym świecie, że jednym z dowodów i znamion narodowej jedności jest jedna literatura narodowa. Tylko, że u nas, jak wszędzie zresztą, różne stopnie oświaty, różny stan umysłowości, wydał w jednym narodzie różne potrzeby i różne literatury. Mickiewicz żyje wśród ludzi oświeconych tylko, i nawzajem wiejska piosneczka lub powiastka dla takich jest przedmiotem ciekawości, sympatycznego zajęcia, ale nie chlebem duchowym, którymby zawsze żyć mogli. A więc ta wspólność literatury, jako znak narodowej jedności, gdzież jej szukać i czy jest gdzie w ogólności? Otóż jest jeden rodzaj w literaturze wspólny wszystkim częściom Polski i wszystkim jej warstwom, ludowy przedewszystkiem, ale we dworze i w mieście tak znany, tak dobrze widziany, tak robiący wrażenie, jak na wsi i w chacie: to jest pieśń kościelna w ogólności a w tej nadewszystko kołęda. Nie ma jednego ucha, któreby nie witało z radością i nie słuchało ze wzruszeniem jej prostej nuty, kiedy ona się odezwie; nie ma jednego serca, któreby na głos jej nie biło sympatycznie; nie ma jednego umysłu, któryby w niej nie widział i nie uznawał rzeczy prawdziwie i zupełnie swojej, krwi ze krwi i kości z kości.

Własność narodowa niezaprzeczenie, pieśń i obyczaj razem, ona jest niezawodnie jednym ze znaków wspólnego pochodzenia, wspólnej natury, wspólnego ducha w narodzie. A kto wie, czy nie ma jakiego znaku lub symbolu i w tym fakte, że z całej literatury ludowej lub pisanej jedyną własnością wspólną całego narodu, jedyną poezią, która się znajduje wszędzie, do każdego serca trafia i na każdy umysł wywiera wrażenie, jest pieśń pobożna, kościelna, i ta w szczególności, która przynosi światu dobrą nowinę i obwieszcza „pokój ludziom dobrej woli“.

135306

~~120005~~

120005